Nr. 356. **We Lwowie Sobota dnia 24 Grudnia 1899 r.** **Rok XXXI.**

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano

Przedpłata wynosi we Lwowie:

Rocznie 18 zł. — półrocznie 9. zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.

Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego“, plac Marjacki liczba 6 i 7. Telefon Nr. 171.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Numer „Dziennika Polskiego“ kosztuje 6 ct.

Błyśnij gwiazdo!...

I stało się, iż gdy niewola wzmocniła się na świecie, nastąpiło przesilenie jej..
W on czas przyszedł na ziemię Syn Boży, Jezus Chrystus...
I rzekł.....: kto pójdzie za mną, zbawion będzie, bo ja jestem prawdą i sprawiedliwością...
(Adam Mickiewicz. Księgi Narodu Polskiego).

Ciemno i ciemno... Jak w tumanach mgły
Tak ludzkość się plącze i błąka,
Bez kwiatów i bez woni łąka —
Rozpacz, zwątpienie, ból tylko i łzy...
A tam, gdzie, sądząc, iż wyrasta kwiat,
By zerwać go, bieży czemprędzej,
Tam rwie... nie kwiat szczęścia, lecz nędzy —
Jękiem wybucha, co w duszę się wkradł!...

*

Z każdą chwilą się wzmagała
Niewola.
A płaciła ludzkość cała
Obola
Zwątpieniu!
Z każdą chwilą rosły ciemnie
I noce —
Człowiek czekał potajemnie,
Że w cieniu
Jakiś blask mu zamigoce,
Gwiazda, co zbawienie da —
Że radości czysta łza
Spłynie mu z zamglonych ócz,
Światło przetnie mroki tucz —
I rozpęknie ciemność głucha,
Przez nią błyśnie światło Ducha!

*

I błysnęło! — Zawrzał blask —
I niewoli spadły pęta.
Gwiazda błysła — gwiazda łask,
Gwiazda święta,
Co pasterzy, królów wiodła
I lud,
Gdzie stajenka była podła,
Kędy na sianie
Niepokalanie
Stał się cud!
Na zwątpienie przyszedł lek!
Ten, co rządzi nad światami,
Słowo rzekł —
A Słowo Ciałem się stało,
Zamieszkało między nami:
Na świat przyszedł Boży Syn,
Co odkupił ludzkość całą,
Swoją krwią ją obmył z win!

*

„Kto za mną pójdzie, będzie zbawiony,
„Bom ja jest Prawdą!“ — głosi Syn Boży...
Poszedł — i zastęp ludu się mnoży,
A idąc za nim, w tryumfu tony
Uderza, głosząc w wsze świata strony,
Że się wydostał z piekieł obroży,
Że duch już wolny, w niebiosa wzlata,
Że Wolność Ducha przyszła dla świata.

*

„Jam Sprawiedliwość! Zbawiony będzie,
„Kto za mną pójdzie!“ — zabrzmiały słowa...
Droga dla ludu powstała nowa —
„On Sprawiedliwość!“ — rozbrzmiewa wszędzie,
W świat idzie nowe ludom orędzie,
Co je bratersko ze sobą skowa...
Lud nie upadnie, — w trąby weselne
Już nie uderzą moce piekielne!

*

Tak szły zastępy — za ludem lud,
Wpatrzony w gwiazdę przejasną,
Wierząc, że zginie szatanów ród,
A jej promienie nie zgasną!...
I idą ciągle, choć piekieł wrzask
Przygłuszyć chce tryumfu ton, —
Idą wciąż naprzód, a gwiazdy blask
Wciąż im wskazuje, gdzie Wódz, gdzie On!

I pójdą jeszcze przez wieków wiek,
Z miłością, wiarą wytrwałą —
Bo wierzą, że tak, jako Bóg rzekł,
Już Słowo Ciałem się stało!

* * *

A stoi smutny naród z ubocza —
I łzawem okiem patrzy w przezrocza,
A usta bolem skrzywione drżą,
Jakby wyrzucić pragnęły słowa:
„Gdzież Sprawiedliwość Pańska się chowa,
„A łask jej zdroje gdzież są, gdzież są?
„Cierpienia nasze na Twe ołtarze
„Składamy, Panie, czyż nic nie zmaże
„Już naszych dawnych win, zlanych krwią?
„Czyż nie wzruszają Cię twarze blade?
„Czyś synów ludu dał na zagładę
„I obojętnie patrzysz, gdy mrą?“

*

O nie!... Wierzymy, że mu zapłonie
Gwiazda Wolności, że wstanie znów!
Bóg Sprawiedliwy na swoim tronie
Jedno z potężnych w świat rzuci słów:
„Wstań!“ — i powstanie, strząśnie okowy,
Odetchnie wolny, bez blizn i ran —
Bo potężnemi wskrzesi go słowy
Bóg, co jest Prawdą, nad pany Pan!

*

Błyśnij gwiazdo mu Wolności,
Ty zwiastunko lepszej doli!...
Chwała Panu w wysokości,
Pokój ludziom dobrej woli...

Antoni Jastrzębiec.

Lwów 24 grudnia.

Drżąca, migotliwa gwiazdka betlejemska, która przed wiekami zwiastowała narodziny nowego ducha ludzkości, przypomina się dzisiaj całemu chrześcjańskiemu światu i oczy nasze, gorączkowo zatopione w wirach drobiazgowego życia, w ułudnej fata-morganie krucho zbudowanego szczęścia, w odmęcie wiecznych zapasów o byt, skierowuje daleko w przeszłość, gdzie się dokonywał początek nowej ery w dziejach ziemi. Wyobraźnią przenosimy się do nędznej mieściny biblijnej, z której wyszedł Mistrz miljonów, największy pessymista i największy pocieszyciel. My wszyscy, mimo tryumfalnego pochodu kultury, która nosi na sobie etykietę chrześcjanizmu, jesteśmy pessymistami. Dobre pierwiastki natury ludzkiej jęczą pod przygniatającym ciężarem siły brutalnej, która poszła na usługi trucicieli ducha, grabieżców piękna moralnego. Przygnębienie naszych czasów, będące tak znamienną ich cechą, nie jest kaprysem nieuzasadnionym, bo rozwój dziejowy nie zna kaprysów ani niespodzianek. Jest to raczej chwilowy przystanek kroczącej na krzyżowej drodze ludzkości, stacja bolesna w dążeniu na Golgotę, na której ma się dokonać zupełne odkupienie, aby po niem zabłysnął uroczysty i wielki dzień zmartwychwstania. Pognębienie dobrych, jasnych pragnień człowieczych, roztryumfowanie się tego ciemnego ducha, który na ręce ludzkości nałożył okowy używania i nędzy, dzikiej radości niszczenia i cichego jęku ofiar, który wytworzył kontrasty i nienawiść, sprowadziło na umysły szlachetniejsze naszego czasu mgłę smutku i zwątpienia. Jest to bierny odruch reakcji, omdlenie konieczne i nieuniknione — takie same, jakiego doznał na górze swojego stracenia Bóg Wcielony, kiedy dopijał puhar cierpień, na którego dnie leżały blaski nowego życia, nowych ideałów dla synów Adama. Lecz w chwili, gdy krzyż, uciskający ramiona dobrego ducha ludzkości, grozi mu przywaleniem zupełnem i ruiną, jedno spojrzenie w pogodnie drżącą gwiazdę betleemską na stropie nieruchomych niebios ożywia go, zdwaja jego siły, staje się pomocą Szymona Cyrenejskiego w podróży do najszlachetniejszego szczęścia. W urodzeniu, życiu i zgonie Boski Pocieszyciel jest dla wszystkich wątpiących i słabych widomym znakiem, że nie ma dość potężnych ramion, któreby mogły obalić i zabić ducha-ideę. Rozpętanie się samolubstwa i gwałtu, antychrystowa orgja, która grzmi na przestrzeni ziemi, zatapiając na dnie każdego, kto nie ma sumienia dość elastycznego, rąk dość drapieżnych, mózgu dość nasyconego sprytną podłością, zmilknie i tak samo skorupy fałszu zatoną w fali zapomnienia, jak tamte, z przed dziewiętnastu wieków, gdy Chrystus torował drogi idealizmowi, dobroci i miłości. Oczyszczenie świata nie może się odbyć prędzej ani później, niż wtedy, gdy dopełni się miara. Skutek związany z przyczyną idzie naprzód i przebija drogę przez gąszcze, które zasłaniają widnokrąg. Przeobrażenie świata nie może się stać w ciągu życia kilkudziesięciu pokoleń, bo ono jest tylko drgnieniem w wielkiej fali czasu, która przepływa nad chaosem stawania się. Pessymizm, ów niemy protest szlachetnych, jest wyrazem nastroju chwili, w której pochód robi się wyjątkowo ciężkim i trudnym. Lecz gwiazdą przewodnią nie będzie on nigdy. Tą gwiazdą pozostanie zawsze małe światełko z nad Betleemu — zwiastujące zorzę wielkiego, jasnego życia, rozkwit dnia, symfonję powszechnego szczęścia. Uroczyste słowa „Bóg się rodzi“ nie straciły swojej mocy czarownej. Chaos musi wyłonić z siebie Królestwo Boże na ziemi.

Wigilja Bożego Narodzenia.

Nowelka.

Szósta godzina wybiła — dzwonek dał znak spoczynku — wielkie koła maszyn zatrzymały się w ruchu i z wnętrza fabryki oświetlonej ognikami kuźni, wysypał się rój osmolonych robotników i rozprószył się w ulicach i zaułkach.

Jeden z nich zatrzymał się przy sklepiku wiktuałów, kupił bochenek białego chleba, parę śledzi i poszedł z tem do jednego domu stojącego na końcu ulicy. Nazywał się dom, a była to właściwie rudera, zamieszkała przez ubogich ludzi. Robotnik, idąc do siebie, spojrzał mimochodem w okno stróża i zobaczył go z żoną i dziećmi siedzącego koło stołu przy wieczerzy. — Jakiś czas przypatrywał się temu — wtem coś mokrego i ciepłego spadło mu na rękę, w której trzymał śledzie. Wzdrygnął się i spojrzał z przestrachem na rękę i spostrzegł, że to była łza, która z jego własnych oczu się stoczyła. Tak się zapatrzył na rodzinę stróża, siedzącą koło wspólnego stołu, iż nie uważał, że mu ten widok łzy wycisnął z oczu. — Bo i on miał rodzinę w Warszawie, która w tej chwili pewnie siadała do stołu razem z gwiazdą wieczorną i łamała się opłatkiem, a on nie łamał się z nią już lat trzynaście i wrócić nie mógł tam, gdzie serce się rwało.

Otarł z łez oczy i poszedł ku oficynom, i po ciemnych wąskich schodach dostał się do swego mieszkania na poddasze. Gdy się zbliżał do drzwi, jakiś ruch dał się słyszeć w jego izdebce, coś zaczęło skomleć, to był Azor, jego pies, który, gdy otworzono drzwi, rzucił się do swego pana i skakał koło niego i tulił się koło nogi, tłukąc z radości ogonem po ziemi. — Robotnik pogłaskał go po kudłach, uspokoił, a potem usiadł na tapczanie pod oknem i dzielił się z nim chlebem i śledziem. Świeca wydawała mu się zapewne zbyteczną, bo jej nie zaświecał, może dla tego, że nie miał, a może wolał srebrny, blask księżyca, który z za komina wyjrzał i oświetlał okienko izby, a na tle tej jasności widać było kudłatego psa, nędznego, na tylnych łapach, i ciemne ręce wyrobnika, trzymające chleb i poruszające się to ku ustom, to do psa. — Wreszcie opadły spokojnie na kolana z niedojedzonym chlebem, bo jedzący zamyślił się i zapomniał o jedzeniu. Być może, iż chętnie oddałby ten chleb za kawałek opłatka z Warszawy, posiliłby nim duszę, która była głodna dobrych słów. — Nie miał nikogo, tylko psa, a pies mówić nie umiał. W rozumnych jego oczach widział współczucie, był przekonany, że pies rozumie jego cierpienie, ale nie miał słów pociechy dla niego.

Wtem przyszła mu na myśl legenda, którą mu piastunka mówiła o zwierzętach gadających w wigilję Bożego narodzenia, o jakichś wołach, co przemówiły. Myśl puszczona w świat ludowych urojeń szła sobie luzem, jak pacholę przez las, błądziła bez celu, aż zmęczona, znużona usnęła.

I śniło mu się, że słyszy kolendę w kościele o północy, że widzi rodzinę swoją, idącą przy świetle latarń do kościoła! — wołał za nią, ale nikt nie słyszał, nie obejrzał się. Spostrzegł się, że słyszeć nie mogą, bo był od nich setkami mil oddalony i pomyślał sobie z boleścią: czy ja ich też kiedy zobaczę jeszcze? — czy wrócę do nich? — Wtem dzwon wybił dwunastą coś koło niego ruszyło się pod nogami, spojrzał to był Azor.

Stał przed nim przysiadłszy na tylnych łapach, oczy miał zwróconę ku niemu, otworzył szeroko pysk i z gardła jego wyszedł jakiś ludzki przytłumiony głos, i powiedział mu cicho: wrócisz.

Radość wstrząsnęła nim gwałtownie i wstrząśnienie to obudziło go. — Przetarł oczy i spojrzał. Azor siedział przed nim rzeczywiście na tylnych łapach, jak we śnie, i tak samo patrzył na niego, a wzrok ten zdawał się mówić mu jeszcze: wrócisz...

Robotnik pochwycił psa w objęcie i tulił i całował z radości, jak przyjaciela. *M. B.*

Kolenda.

W noc miesięczną, z piosnką wdzięczną,
Szatą i duszą biali;
Pastuszkowie, prostaczkowie.
Przy trzodce swej czuwali.

Dziwne wonie, mkną nad błonie
I dziwne blaski świecą —
A piosenki, szklanne dźwięki
Czuć jak ku niebu lecą.

Bo radośnie — jak o wiośnie.
Tak sfery drżą powietrzne,
Tak przybrała — ziemia cała
Sukienki dziś świąteczne.

Północ chyża już się zbliża,
Czyliż jej wielkość czują?
Że z wzruszeniem, z takiem drżeniem,
W niebiosa się wpatrują?

Nocną ciszą ją usłyszą.
Najpierwsi — już uderza!...
Już się w dali błękit pali
I ćmiący blask rozszerza.

A przed niemi, z srebrzystemi
Skrzydły — co z ramion wiały,
Jak woń kwiatu, z nieb bławatu
Wypłynął anioł biały!

„Wstańcie mili! Wam w tej chwili
Jutrznia wieczności świta!
Niech wasz prości dzięk miłości
Najpierwszy Zbawcę wita!

Z Marji cichej — w stajni lichej,
Boskie się oto dziecię
W żłobku rodzi! — Dla was schodzi
W pracy i bolu życie!

Nad promienną, słodką, senną,
Dziecięcą jego głową
Już tam czarny, krzyż ofiarny
Z koroną tkwi cierniową!

A on święty, uśmiechnięty,
Topi w nią wzrok weselny...
Bo z tych cierni, na was wierni
Blask spływa nieśmiertelny!

Winy ziemi On świętemi
Obmyje krwią i łzami;
A zagości u was, prości,
I żywot spędzi z wami.

Bo wy biedni tylko jedni
Z mętnej zepsucia fali
Wypłynęli — i serc bieli
W jej mętach nie skalali“.

Lica zbladły i łzy spadły
Pastuszkom z ócz w milczeniu;
Padli czołem przed aniołem
W świętej trwogi zdumieniu.

A po chwili już dążyli.
Gdzie niebiańskie nadzieje;
Gdzie jutrzenką nad stajenką
Złota gwiazda jaśnieje!

I widzieli, jak weseli
Ziemia się wkoło cała;
I słyszeli, jak anieli
Nucą mu: Chwała! chwała!

Lecz najpierwsi, i najszczersi
Dziękczynienia mu słali:
Pastuszkowie, prostaczkowie,
Szatą i duszą biali.

Lwów 1876.

O Don Kiszota.

Dziennikarstwo warszawskie, które nie potrzebuje tak, jak my, poświęcać całych szpalt karczemnym awanturom jakiegoś Wolfa, ma więcej czasu i miejsca, aby omawiać sprawy natury trwalszej, tyczące się zasadniczych cech człowieka. Świeżo toczyła się tam zajmująca polemika na temat: jakie cechy powinien posiadać naród, który pragnie iść na czele wielkiego pochodu doskonalenia się ludzkości. Znakomity publicysta Ludwik Straszewicz umieścił niedawno w *Kraju* świetny artykuł p. t.: „Dwa typy — dwie idee“, w którym nawiązując do ostatniej wojny hiszpańsko-amerykańskiej wyraża przekonanie, że Hiszpanja przegrała tę wojnę dlatego, ponieważ jej narodowym typem, unieśmiertelnionym w poezji jest szlachetny, lecz głupi i niepraktyczny marzyciel Don Kiszot, podczas gdy narodowym typem Amerykanów jest przedsiębiorczy, śmiały młodzieniec, prototyp tęgiego *businessisty*, Robinzon Kruzoe. W nich skrystalizowały się przymioty charakteru obu narodów: hiszpańskiego i amerykańskiego — a że Don Kiszot musi zawsze uledz w walce z Robinzonem Kruzoe, który nie żyje w świecie fantazji, lecz bada rzeczywistość i stara się ją wyzyskać, o tem świadczy właśnie ostatnie starcie się dwóch mocarstw o Kubę. „To też biada narodom — pisał p. Straszewicz — w których donkiszoterja staje się epidemją, a Don Kiszotowie uważani są za bohaterów“.

Artykuł p. Straszewicza, posiadający nietylko w Hiszpanji, lecz i u nas wartość praktyczną, spotkał się z pochwałami znacznej części prasy. U nas przedrukowały go niektóre dzienniki, a w Warszawie Bolesław Prus poświęcił mu feljeton w *Kurjerze Codziennym*. Szlachetny, a niepraktyczny Don Kiszot pozostał na razie bez obrońców. Dopiero w jednym z ostatnich nrów *Tygodnika Illustrow.* znany krytyk i autor znakomitego dzieła „Swoi i obcy“ p. Ignacy Matuszewski podjął się apologji Don Kiszota. P. Matuszewski szczególnie podkreśla trzy punkty:

1. Że Don Kiszot nie jest przedstawicielem typu hiszpańskiego. „Typami prawdziwie hiszpańskimi w historji byli krwawy Arbuez, zuchwały Kortez i Pizarro, ponury i ambitny król Filip II, okrutny książę Alba. Charakterystyczne cechy herosów

---

SZÓSTY.

HISTORJA GWIAZDKOWA

WIKTORA GOMULICKIEGO.

I.

W domu pana Rawskiego, bogatego fabrykanta powozów i uprzęży dla koni, panuje ruch nadzwyczajny.

Dwaj wynajęci froterzy, wraz z domową pokojówką, ślizgają się jak szaleni po posadzce salonu, nadając jej połysk kryształowy; kucharz i pomocnica jego pracują w pocie czoła nad płataniem ogromnych ryb, tarciem maku i migdałów i wertowaniem zatłuszczonej książki kucharskiej; przy zlewie zakasana powyżej kolan pomywaczka szoruje, klnąc i przyśpiewując, naczynia miedziane, porcelanowe i kamienne.

W komnacie jadalnej sama pani Rawska stoi przy otwartym na wszystkie strony kredensie i dobywa z szuflad serwety i obrusy holenderskie, przy których białości i delikatności gasną jej własne, dość jeszcze białe i dość delikatne policzki.

Co chwila dzwonek u drzwi wchodowych drga i brzęczy, a posłaniec za posłańcem znoszą: to kosze z butelkami, owiniętemi w angielską bibułkę, to pudła okrągłe, owalne i kwadratowe, to wreszcie jakieś nieforemne, pękate paczki, owiązane szpagatem i lakiem opieczętowane...

O dwunastej, wpada jak bomba sam gospodarz.

Jest to mężczyzna młody jeszcze, ale już dojrzewający. Dobrobyt materjalny zaokrąglił mu i zarumienił policzki; nadał też twarzy jego ten wyraz stałej pewności siebie, jaką biedacy mogą miewać jedynie przelotem. Oczy ma uśmiechnięte i błyszczące; niewielki wąs podkręcony zuchowato do góry — jednem słowem, wedle zgodnej opinji znajomych dam, jest jeszcze dzisiaj „niebezpieczny“. A cóż dopiero musiało być dawniej, gdy mu na barkach nie ciężyła jeszcze żona z dwojgiem dzieci i fabryka ze stoma tysiącami rubli rocznego obrotu!

— Ryby kupione?... Wino przynieśli?... Cygara są?... Dzieciaki ubrane?... Z salonem skończyli?... A choinka? a siano pod obrus? a świece w żyrandolu?

Biega po całym domu jak fryga, rzucając na wszystkie strony krótkie, energiczne zapytania. Potem, pocałowawszy w przelocie żonę, siada na chwilę do otwartego fortepianu, przegrywa jedną ręką jakąś poleczkę, nie kończy jej, zrywa się, i chwyciwszy za cylinder, chce uciekać na miasto.

— Władysławie! Władeczku! — woła za nim żona i w progu go zatrzymuje. — Chcesz wynosić się z domu, a nie powiedziałeś nawet, ile osób spodziewać się wieczorem?

— Przygotuj się, koteczko na... dwadzieścia, może nawet na dwadzieścia i kilka... Oprócz oficjalistów fabryki, mają zajść do nas: Karolowie z córkami, ciocia Wąsowska z synem, oraz kilku facetów, którym zachciało się odpieczętować dziś po dwunastej karnawał. Ale to wszystko, jak ci już mówiłem, spadnie dopiero po kolacji.

— A na kolacji?

— Na kolacji duszko, oprócz mnie, ciebie, panny Anzelmy i dzieciaków, nie będzie nikogo. A teraz, ponieważ już wiesz wszystko, coś chciała wiedzieć, do widzenia!

— Dokądże tak spieszysz?

— Czeka na mnie jedna... to jest jeden bogaty klijent z Wołynia.

— Zapewne u Stępkowskiego?

— Zgadłaś, gołąbko, do widzenia!

Wystawił już nogę za próg i zamachnął drzwiami, żeby je zamknąć, gdy nagle, coś sobie przypomniawszy, wraca do pokoju.

— Cóż to? zapomniałeś parasola, czy portmonetki z pieniędzmi?

— Ani jedno, ani drugie. Przyszło mi tylko na pamięć, że od zeszłorocznej „gwiazdki“ powiększył się nasz dom o jednę osobę...

— A tak, o małą Zosiuchnę... Ale cóż z tego?

— To z tego, że przed rokiem byliśmy do pary, a dziś jesteśmy nie do pary.

— Czy być może?

— Policz sama: ja z tobą... jedna para; panna Anzelma z Stefcią... druga para; a co zrobić z Zosiuchną?

— Zosiuchnę można zostawić z mamką w dziecinnym pokoju, albo też razem z mamką posadzić do stołu.

- Nie zgadzam się ani na jedno, ani na drugie. W takiej uroczystości, jak kolacja wigilijna, muszą uczestniczyć wszyscy bez wyjątku członkowie rodziny — Zosiuchny zatem wyrzucać nie pozwolę...

— Więc niech siedzi z mamką...

— Co za myśl! Patrząc na tę brzydką, głupowatą, do krowy na pastwisku podobną Magdę, nie mógłbym przełknąć nawet kawałka ryby...

— Iiiii... za wielki z ciebie delikatniś!... Co wreszcie robić z tym fantem?

— Trzeba wynaleźć kogoś na szóstego.

— Zgoda... ale kogo?

— Bagatela!... pierwszego kto się nawinie...

W tej chwili w przedpokoju odzywa się dzwonek.

Służąca wychodzi i wraca z zawiadomieniem, że chłopiec z cukierni przyniósł tort i strucle.

— Zawołaj go tutaj!

Zjawia się w pokoju ładny, ale mizerny chłopczyna, dźwigający na ramieniu wielki tort, a w ręku pokryty serwetą koszyk ze struclami.

Kłania się grzecznie, i postawiwszy ciasto na stole, chce odchodzić, nie czekając, zwyczajem swych kolegów, na napiwek.

Wogóle, zachowanie się jego odmienne jest od zwykłych manier cukierniczych chłopców. Nie ma on ani takiej zuchowatej miny jak oni, ani takich oczów błyszczących przebiegłością i dowcipem, ani ręki wysuwającej się łapczywie po datek...

Jest to chłopiec lat dwunastu lub trzynastu, zmizerowany jakiś i smutny. Popielata kurtka i fartuch płócienny leżą na nim obwiśle, zdradzając chorobliwą szczupłość figury. Włosy ma ostrzyżone przy samej skórze, twarz bladą, uszy zaczerwienione od mrozu. Chwilami pokasłuje...

— Słuchaj-no, mały! — odzywa się nagle fabrykant, chwytając chłopczyka za ramiona i wykręcając na miejscu, jak drewnianego „bąka“. — Chcę ci coś zaproponować...

— Co pan każe? słucham... — odpowiada dzieciak lękliwie.

— Powiedz mi najprzód: gdzie ty dzisiaj będziesz na „wilji“?

— Nigdzie, proszę pana... to jest, właściwie: u pryncypała w piekarni...

— A rodziców nie masz?

— Nie mam już... mamy... Umarła zaraz po Wielkanocy... ósmy miesiąc temu...

— No, to słuchaj, co ci powiem. Jak tylko się ściemni, ubierz się przyzwoicie i przyjdź tutaj. Będziesz „wilję“ jadł z nami. Zgoda?

Chłopczyna spuszcza oczy, kręci czapką i nie wie co odpowiedzieć...

— Czego się namyślasz, głupi! — dodaje niecierpliwie fabrykant. — Nie będziesz przecie na tym interesie stratnym. Zjesz taką kolację, jakiej w życiu nie pokosztowałeś, a za to, że posiedzisz godzinkę lub dwie z porządnymi ludźmi, dostaniesz jeszcze odemnie rubla. Przyda ci się to na podzelowanie kamaszków...

Silny rumieniec, wstydu czy gniewu, oblewa bladą twarz chłopczyny.

— Proszę pana... — mówi niewyraźnie — pan... pan mnie nie zrozumiał... Za rubla dziękuję... nie chodzi mi o żadną zapłatę... tylko... tylko...

— Tylko co?

— Tylko ja nie wiem, czy... czy to wypada? Państwo mnie nie znają, ani ja państwa nie znam...

Rawski aż podskakuje do góry w wybuchu nagłej wesołości.

— Ha, ha, ha! niechże cię drzwi ścisną, mój ambitny kawalerze! Nie znamy się, powiadasz?... a prawda, jeszcze nas sobie nikt dotąd nie zaprezentował!... ha, ha, ha! Ale to się powetuje: przy kolacji my się tobie zarekomendujemy, a ty nam — i będzie wszystko w porządku. Ha, ha, ha, ha!

hiszpańskich stanowią: bezwzględność, ponurość, okrucieństwo i fanatyzm, oraz duma, połączona z nadzwyczajną drażliwością na wszystko, co dotyczy tak zwanego „punktu honoru."

2. Że Don Kiszot nie jest postacią antypatyczną, lecz przeciwnie. Don Kiszota wszyscy kochają: nie tylko jego powieściowe otoczenie, ale nawet sam czytelnik. „Za co? — pyta Matuszewski i odpowiada: — Za jego dobroć, szlachetność, bezinteresowność, marzycielstwo, naiwność i czystość moralną, oraz za jego — niedolę."

3. Nareszcie zwraca uwagę Matuszewski na to, że „Don Kiszot jest nie tylko obijanym i wydrwiwanym przez rzeczywistość marzycielem, lecz zarazem symbolem najszlachetniejszych wysiłków i aspiracyj, ciągle tłumionych przez codzienny bieg życia, a jednak niezbędnych dla rozwoju duchowego ludzkości. Donkiszoterja, to pewne stadjum każdej myśli, każdej reformy, każdego odkrycia czy ulepszenia, każdego programu, każdej walki o poprawę i sprawiedliwość. Zawsze musi ktoś zwrócić na coś uwagę, pomylić się raz i drugi, narazić na drwiny lub kije, walczyć z wiatrakami przesądów, baranami rutyny, oraz ze złą wolą, obojętnością i bezmyślnem szyderstwem wielkich mas."

To też „jeżeli typ Robinsona pożądany jest ze względu na materjalny rozwój społeczeństwa, to typ Don Kiszota jest konieczny, jako ferment, przeciwdziałający zbytniemu zasklepieniu się narodów w skorupie samolubstwa i interesów czysto praktycznych. Entuzjazm, romantyka i marzycielstwo są jak mocne trucizny: w wielkich dozach zabijają, w małych podniecają i pokrzepiają organizm jednostkowy i społeczny. Dozowanie tych środków nie jest łatwe, to prawda; ale ztąd nie wynika bynajmniej, żeby je usuwać raz na zawsze z medycyny społecznej i wyrzucać pogardliwie za okno..."

Na apologię tę odpowiada znowu Prus w *Kurj. Codziennym* i podtrzymuje stanowisko p. Straszewicza. Don Kiszot jest koniecznie „próżniakiem, warjatem i zawalidrogą", człowiekiem szkodliwym, ponieważ wprawdzie pobudki jego działania były szlachetne, lecz sposoby, środki i wreszcie rezultat świadczą, że była to słaba głowa, pracująca bez pożytku dla kogokolwiek. Kogo Prus uważa za Don Kiszota, pouczy nas najlepiej następujący ustęp:

„Dwaj ludzie jadą pod biegun. Nansen okrętem, na który zgromadził wszystko, co mogło zapewnić powodzenie i Andrée balonem, którym nie można ani kierować, ani dłużej unosić się w powietrzu, jak dwa tygodnie. Otóż Nansen choć nie dojechał do bieguna, zasługuje na tytuł poważnego badacza; zaś Andrée choćby nawet odkrył biegun, będzie Don Kiszotem, któremu udał się szalony zamiar. Bajron, kiedy przepłynął Helespont, pomimo, że inni robili to samo przed nim, był Don Kiszotem; gdyż jego odwaga żadnego nie przyniosła pożytku. Leonidas, choć zginął pod Termopilami, nie tylko nie spełnił czynu nierozsądnego, ale: żołnierski, zasadniczy obowiązek."

Na dowodzenie zaś p. Matuszewskiego, który mówi, że Don Kiszotowie nie pozwalają społeczeństwu ugrzęznąć w materjaliźmie, że oni wnoszą dobroczynny ferment idealizmu, podczas, gdy Robinzonowie są karjerowiczami, odpowiada Prus, że przeciwnie Kruzoe jest zdobywcą w najszlachetniejszem znaczeniu i dowodem, iż nawet natura ugina się wobec rozumnej woli i niezwalczonej cierpliwości człowieka, a potem pisze:

„Również jest nieuzasadniona, a od wielu lat w naszym kraju powtarzana obawa, że społeczeństwo, składające się z ludzi, którzy pracują, jest narażone na pogrążenie się w materjaliźmie. Co to ma znaczyć ów „materjalizm?" Czy człowiek, który dobija się znośnego bytu, jest materjalistą, zaś idealistami tylko ci, którzy, dzięki sukcesjom, bez najmniejszej pracy mają ostrygi?... W takim razie największymi idealistami byliby ci, którzy już posiedli znajomości w balecie, wyścigowe stajnie i mogą w ciągu jednego wieczora przygrywać tysiące rubli! Nie troszczmy się o zmaterjalizowanie pracującego świata... Zobaczmy jak strudzony chłop wyrzeka się snu, byle tylko posłuchać fantastycznej bajki. Jak rzemieślnik wyrzeka się przez kilka tygodni piwa, byle kupić zajmującą książkę. Jak biedna szwaczka nie zje obiadu, byle pójść do teatru; jak stroskana wyrobnica wśród nocy pada u drzwi kościelnych, ażeby poskarżyć się na swoją niedolę Temu Jedynemu, który jej słucha bez niecierpliwości i wymówek"...

Na te uwagi można się pisać bez zastrzeżeń. Życie idealne bowiem nie musi być warunkowane tworzeniem fantastycznych wiatraków, a sztuka, która jest rzeczywistością, przedstawia dość obszerne pole do zaspokojenia podniosłych pragnień człowieka. Życie zaś poucza nas, że ci, którzy tak dużo piorunują na materjalizm, sami zwykle nie pogardzają dobrami tego najlepszego ze światów i boją się tylko szczerze, aby tych dóbr nie chcieli pożądać... inni.

Lwów muzykalny.

Lwów jest muzykalny. Jestto dogmat, którego nie wolno opukiwać, podawać w wątpliwość lub analizować. Muzykalny — i basta. Dzienniki, których nieomylność nie ulega kwestji, stwierdziły to już dawno, a kto jest do tego stopnia sceptykiem, że poważa się dziennikom nie dowierzać, temu polecamy do studjowania afisze.

Białe, różowe, zielone, żółte — wszystkie krzyczą o muzykalności Lwowa. Koncerty sypią się jak z rękawa i z każdego wychodzą „nasi znani", „nasi sympatyczni", „nasi znakomici" z kwiatami, bukietami, słodkiem uczuciem tryumfu, no — i dochodem.

Opera jest benjaminkiem Lwowa. Bogom operowym jesteśmy tak wierni, że „Marta" dotąd jeszcze wyciska łzy z oczu słuchaczów. Panuje tu obszerne odczuwanie sztuki. Roztkliwiamy się z „Traviatą", płoniemy i roznamiętniamy, się z Turridem, filozofujemy z „Tannhäuserem". Tenor jest półbogiem, primadonna boginią zupełną.

Pani Arklowa przecież powozem zaprzężonym w karki entuzjastycznej młodzieży w. m. podróżowała codziennie z teatru do hotelu Imperial. Nie jestże to rozkwit sztuki?

Muzykalność Lwowa ma swoje strony jasne i ciemne, t. zw. *Schattenseity*. Te ostatnie, polegające na bezlitosnem męczeniu fortepianów znamy zarówno z codziennej praktyki życiowej, jak z łamów *Smigusa*, który się mści za nas wszystkich skutecznie. Bo któż nie ma sąsiadki na pierwszem piętrze... no... tej, co to całemi godzinami bębni bez miłosierdzia...?

Wszyscy mamy takie sąsiadki.

Lecz „wiele będzie odpuszczone tym, którzy wiele cierpieli".

Z rozmaitych rodzajów muzyki i rozmaitych rodzajów publiczności możnaby ułożyć coś w guście drabinki hierarchicznej. Na samym szczycie stałaby oczywiście muzyka kameralna, najczystsza, najszlachetniejsza, trochę nudna, muzyka sama dla siebie. Sztafaż: poważna sala tow. muzycznego, dyr. Szwarc z batutą w ręku, nastrój *serioso*

O stopień niżej muzyka operowa, królestwo Leoncavallów, Mascagnich i Verdich. „Intermezzo" rozsnuwa swoje pajęcze melodje. Publiczność zapalna, ruchliwa. W loży dyr. Heller, u wejść armja biletерów. Batuta Jareckiego jak ptak buja nad chmarą orkiestry.

Idziemy dalej w dół: koncerty popularne. Tu witamy dobrze znajome twarzyczki naszych projektowanych gwiazd, zapoznanych Pattich, którym znajomy reporter robi nadzieję zaangażowania. Tło: estrada, oklaski kuzynków, kwiaty i przedsmak wielkości.

Jeszcze niżej: „placmuzyka." Wstęp bezpłatny, program wyborowy, dyryguje sam Roll. Słuchacze nie biją brawa, ale są serdecznie wdzięczni za te okruchy sztuki. Tak rzadko to się zdarza.

Wkroczyliśmy w sferę muzyki popularnej, ale i tu jeszcze dzieli się ona na prawe skrzydło — arystokratyczne i lewe — demokratyczne. Weźmy muzykę restauracyjną. Jestto „zastosowanie sztuki do apetytu." Zupełnie inaczej wygląda tło u Webera, inaczej — na przedmieściu.

Wejdźmy do Webera. Elegancja, szyk, wykwintność. Przez olbrzymie szyby patrzymy na gorączkowy ruch ulicy Akademickiej. Armja kelnerów, dyskretny gwar gości, sama śmietanka. Orkiestra daje koncert, którym dyryguje Roll.

Człowiek czuje się w Europie.

Robimy olbrzymi krok, jesteśmy na przedmieściu. Wchodzimy do jednego z „Vergnügungslokalów." Wita nas jakiś chaos muzyczny, coś podobnego do muzyki czekoladowych mieszkańców Ameryki południowej. Uciekajmy!...

Na ulicy wpadają nam w ucho słodko-chrapliwe tony katarynki, zmięszane z dźwiękami harfy nieco nadwerężonej. Nieśmiertelna „Funiculi!" Sztafaż: podwórze, audytorjum bardzo źle urodzone, honorarjum liczy się na centy.

Tu jest ostatni szczebel muzycznej drabiny.

Boże narodzenie

w życiu Juljusza Słowackiego.

(Podług F. Hösicka.)

„Jak też mię Bóg wysłuchał! Ja Go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też On wszystko teraz tak klei, iżby serce moje napełniło się najpoetyczniejszemi wrażeniami... Chwała Mu za to i dzięki." Tak pisał Słowacki w r. 1837, kiedy mieszkał w poetycznej Florencji, a wystarcza sobie uprzytomnić cały kolejny przebieg życia tego „Weroneza naszej poezji" (jak Słowackiego nazywa Klaczko), ażeby się zapytać mimowoli: czy się zna jaki poetyczniejszy żywot poety, aniżeli biografja Słowackiego? Wszystko w tem życiu, od urodzin aż do śmierci, było owiane jakąś poetycznością, której np. było pozbawione życie Mickiewicza lub Krasińskiego. Powiada Kochanowski, że „wszystko się dziwnie plecie" na tym świecie. O ile to jest prawdą, o tyle Słowackiemu wszystko się plotło poetycznie. Cokolwiek się rozpatrzy w tem życiu, we wszystkiem widzi się poezję. Miłość? Żaden poeta nie kochał się tak poetycznie, jak Słowacki; jego miłości — to poematy lub poemaciki, pełne jakiegoś wdzięku, którego np. nie posiadają miłości Krasińskiego. Podróże? Nie znam poetyczniejszych „Wanderjahre", jak Słowackiego włóczenie się po świecie, po Szwajcarji, Włoszech, Grecji, Wschodzie i Ziemi Świętej.

To samo da się powiedzieć i o świętach Bożego Narodzenia, które, jak wszystko w życiu tego czarodzieja słowa, także mu się splatały w dziwnie poetyczny wieniec. Możnaby napisać mały poemacik na ten temat.

Oczywiście, że najpoetyczniejszemi były te, które spędził w kraju, na Litwie i na Wołyniu, a które go widziały dzieckiem lub młodzieńcem.

Oto np. w jaki sposób „Julek" spędzał wieczory wigilijne, kiedy mieszkał w Krzemieńcu, w „białym dworku" dziadostwa swoich, Januszewskich, „pomiędzy Czercą a Bazyljanami" Jeśli zajrzymy do nieporównanego fragmentu z dramatu Słowackiego „Złota czaszka", do sceny drugiej aktu pierwszego, którego akcja rozgrywa się „w piekarni w domu Strażnikowstwa", to zobaczymy poetyczny obrazek, w którym na tle wieczoru wigilijnego łatwo możemy sobie wyobrazić przyszłego autora „Balladyny". Scena zaczyna się od tego, że pan Strażnik (dziadek poety), prosi żonę, aby zwołała dziewki czeladźne na kolendę, poczem zapytuje, czy rozdała im wstążki? „Dałam każdej po wstążce i po tynfie (odpowiada pani Strażnikowa, przez którą tu należy rozumieć babkę poety), kontente. Ambrożemu (tak nazywał się parobek państwa Januszewskich) nie dałam nic gotówką, bo by się upił, ale kupiłam dla niego czapkę z barankiem". W chwilę później wchodzą do piekarni dziewczęta, pan Strażnik każe im poprawić kagańca, żonę prosi, aby zawołała córkę, i zaczyna się śpiewanie kolend:

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes.

Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.

Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes.

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes.

Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

Patrjarchalny zwyczaj śpiewania kolend, ze służbą pospołu, był w domu państwa Januszewskich przyjęty od dawna. W listach swoich do matki wspomina o tem Słowacki niejednokrotnie. Sceny te nigdy nie wychodziły mu z pamięci i przez całe życie rozmarzało go zawsze wspomnienie tych nocy Bożego Narodzenia, spędzonych w Krzemieńcu, w domu dziadostwa, kiedy to, podczas zamieci śnieżnej i wichru na dworze,

Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
Płakała, w rytmy ubrana najlichsze,

i kiedy z nią „usypiali ludzie gospodarni".

Tak bywało w Krzemieńcu, w dzieciństwie Słowackiego. Ale i później, kiedy mieszkał w Wilnie, gdzie pobierał i kończył nauki, zawsze, gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, spędzał je nie banalnie. Najczęściej spędzał je na wsi, w Jaszunach, w domu Balińskich, siedząc przy stole, przy którym siedzieli obydwaj Śniadeccy, Michał Baliński, Zofja Balińska, córka Jędrzeja Śniadeckiego i jej siostra, Ludwika przedmiot pierwszej miłości Słowackiego. Przez całe życie pamiętał te święta, spędzone w Jaszunach, a na które jeździł z Wilna sankami pocztowemi, początkowo z rodziną, z matką i panną Becu, a później sam, lub z Józefem Mianowskim (późniejszym rektorem szkoły głównej) Nigdzie mu nie było tak dobrze, jak tam, wśród tych pięknych lasów sosnowych, po których razem z Ludką jeździł konno; jak tam, w tych Jaszunach, gdzie razem z Ludką jeździł sankami, gdzie z nią razem ślizgał się po zamarzłej Mereczence, gdzie się wzajemnie obrzucali pigułkami ze śniegu, a gdzie czując się swobodniejszy z Ludką, niż w mieście, nietylko pisał sonety, natchnione miłością dla niej, ale raz nawet — podczas konnej przejażdżki we dwoje — wyznał swej lubej, że ją kocha... Ta chwila nie należała do jego najmilszych wspomnień, bo Ludwika, zamiast, uradowana temi oświadczynami, rzucić mu się w objęcia, starała mu się tę miłość wybić z głowy...

Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi; a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem.

Mimo to przykre wspomnienie, przez całe życie nie mógł zapomnieć o tych świętach Bożego Narodzenia, które spędzał w Jaszunach z Ludką Śniadecką. Jeszcze w Genewie, w roku 1835, pisząc do matki, wspominał te błogie chwile.

W roku 1829, w Krzemieńcu przeżył Słowacki ostatnie Boże Narodzenie, które spędził w gronie rodzinnem, wśród swoich, z matką, z Teofilami, z dziadostwem. Jak zwykle, tak i w tym roku, kiedy nadeszła noc wigilijna, w białym dworku „pomiędzy Czercą a Bazyljanami".

Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
Płakała, w rytmy ubrana najlichsze,

a Słowacki — który już od szeregu lat (przez cały czas, jak mieszkał w Wilnie) nie miał sposobności widzieć swego dziadka, jak otoczony czeladzią i całą rodziną, był przewodnikiem tego sielskiego chóru, — jeszcze w roku 1834, w Genewie, wspominał tę noc pamiętną. „Teraz przy zbliżającem się Bożem Narodzeniu (pisał do matki) chciałbym, ażeby mi kto mógł zaśpiewać kolendę taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu".

Następne dwa wieczory wigilijne zastały Słowackiego w Warszawie, gdzie zawsze musiał się czuć osamotniony, bo przy tym stole nie widział ani matki, ani dziadunia, ani Olesi, ani Teofilów, ani Ludwiki.

Odtąd wszystkie święta Bożego Narodzenia spędzał nietylko w dali od swoich, ale i w dali od kraju. W roku 1831 i 1832 spędził Boże Narodzenie w Paryżu, później mieszkał przez kilka lat w Genewie.

W roku 1836 zastało Słowackiego Boże Narodzenie — na pustyni pod namiotem w El Arish, na granicy pomiędzy Egiptem i Syrją, na granicy Afryki i Azji. Podróżował razem z Zenonem Brzezowskim po Wschodzie, a teraz właśnie, zwiedziwszy Grecję i Egipt, podążał do Ziemi Świętej. Podróżując na wielbłądzie, pod przewodem kilku Arabów, musiał odbywać kwarantannę, którą opisał w swej cudownej przedmowie do *Ojca zadżumionych*.

O wiele spokojniejszy wieczór wigilijny przeżył Słowacki w rok później, kiedy, powróciwszy z podróży na Wschód, osiadł we Florencji. Tutaj znalazł liczną kolonję ziomków, między innemi gościnny dom Hermanostwa Potockich, którzy też nie zapomnieli o nim, kiedy nadszedł wieczór wigilijny. Wieczór ten, spędzony w domu polskim, w towarzystwie ludzi miłych i życzliwych, był może najprzyjemniejszą wilją, jaką Słowacki spożył w ciągu swej drugiej połowy życia, od czasu, jak był skazany wszystkie święta Bożego Narodzenia spędzać w dali od swoich... W liście poety, datowanym d. 2 stycznia 1838, znajduje się taki opis tego wieczoru: „Wigilją jadłem z ziomkami, w domu Hermana Potockiego, na sianie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynkami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o wilji u prefekta Jarkowskiego, którą niegdyś jadłem, będąc dzieckiem; potem przyszła mi na myśl wielka babuni piekarnia, czeladź, śpiewająca kolendy, potem wertep krzemieniecki (szopka), któremu może winien jestem mój szekspirowski zapał. Nareszcie dawnym zwyczajem, wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa i wyciągnąłem je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie; jakoż dobyła mi źdźbło krótkie bardzo, ale z kłosem na końcu. Tłómacz więc sobie, moja droga, że dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich. Ja tak tłómaczę to sobie sam i cieszę się..."

W chwili, kiedy poeta pisał te słowa, można powiedzieć o nim, że miał jasnowidzenie przyszłości; istotnie dni jego były krótkie, bo nie przeżył nawet lat 40, ale po krótkiem tem życiu pozostał kłos obfity, kłos, którym są dzieła Słowackiego. Powiadali starożytni Grecy, że ludzie, których ukochali bogowie, umierają młodo. Słowacki był w takim razie jednym z takich „ukochanych przez bogów." Mimo to pod wieloma względami nie wiodło mu się w tem krótkiem życiu, a między innemi i pod tym również, że od roku 1838 począwszy aż do śmierci, kiedy przyszły święta Bożego Narodzenia, czuł się nieszczęśliwszym i bardziej osamotnionym, niż kiedykolwiek, choćby dlatego tylko, że zawsze marzył o tem, ażeby do wilji zasiąść w Krzemieńcu, ze swymi najbliższymi, a potem słuchać w otoczeniu rodziny, jak

Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
Płakała, w rytmy ubrana najlichsze.

Marzeniu temu, niestety, nigdy nie stało się zadość. Umarł, a do takiej wilji zasiadał tylko — w marzeniu. Te zaś, które spożywał w rzeczywistości, tak miały się do tych, które pamiętał z lat dziecinnych, jak rzeczywistość do marzenia, jak proza do poezji. To też ich nawet nie opisywał matce...

Płatki śniegu.

Dawno już znikły w przeszłości bezdni
Te chwilki, kiedyśmy dziatek gromada
Biegli z okrzykiem do matki w jesieni:
— „Mamusiu droga, pierwszy śnieżek pada"
Na drzewach zwisły opony, jak tiule,
Białutkim puszkiem pokryły się łany:
My z płatków śniegu ugniatali kule,
Stawiali domy, tworzyli bałwany.

Lecz stokroć większa to była uciecha,
Gdy nikły z ziemi już śnieżne całuny,
Gdy drogich gości znów witała strzecha:
Boćki wróciły, wiosenki zwiastuny.
Pomnę, jak bardzo cieszyły nas kwiatki,
Na zimę każdy rzucał anatema,
Pomnę, jak biegłem z radością do matki;
— „Mamusiu, nigdzie płatka śniegu niema".

Dziwnie się plecie na tym bożym świecie:
Te płatki śniegu, które w drobne dłonie
Chwytałem, z nimi igrając, jak dziecię:
Padają teraz gęsto na me skronie.
Choć prysną lody, ciemięzcy rzek biegu,
Chociaż na wiosnę ruń zejdzie na łanie:
Nie zejdą z moich skroni płatki śniegu,
Zostanie, każdy na wieki zostanie...

Kaset.

Książę i uczony.

Jednym z najpoważniejszych uczonych, ale też i największych gburów XIX stulecia był znakomity przyrodnik Karol Vogt. Świeżo ogłoszona drukiem garść wspomnień o tym uczonym jest jednem z wielu potwierdzeń aforyzmu: „tylko człowiek taktowny wie, gdzie kończy się prawdomówność, a zaczyna — grubjaństwo". Szkodził też sobie Vogt swoją grubjańską prawdomownością na każdym kroku.

W r. 1891 ks. Monaco zwrócił się do Vogta z propozycją urządzenia w Monte-Carlo wspaniałego akwarjum, któreby stanowiło jedną więcej siłę przyciągającą turystów do malutkiego księstewka. Vogt bardzo był rad z propozycji, która dawała mu możność zarobienia paru tysięcy franków, na starość bowiem, po kilkudziesięciu latach pracy na katedrze w Genewie, pozostał ze skromną emeryturą, wynoszącą tylko 2000 fr. rocznie. Pojechał do Monaco natychmiast po otrzymaniu wezwania, ale i tu wrodzone grubjaństwo popsuło mu szyki.

Książę Monaco miał dać w sprawie akwarjum ostateczną decyzję, do księcia więc udał się Vogt natychmiast po przyjeździe. Panujący dziś książę Monaco ma się za niepośledniego przyrodnika, odrazu więc skierował rozmowę na ulubiony przedmiot swych książęcych badań i rzekł:

— Żałuję bardzo, że w ostatnich latach zmuszony byłem zaniechać studjów nad głębokością mórz.

Vogt, który nie cierpiał dyletantów, uśmiechnął się złośliwie i jeszcze złośliwiej odparł:

— Sądzę, iż brzemię obowiązków państwowych nie stało jego książęcej mości na zawadzie....

Książę zrozumiał aluzję do małych obszarów księstwa i, urażony mocno, wycedził:

— Mylisz się pan, jeżeli sądzisz, że moje stanowisko jest synekurą!

Rozmowa potoczyła się dalej. Książę zapomniał po chwili o złośliwych słowach Vogta i poprowadził go do ogrodu, w którym miało stanąć projektowane akwarjum. Piękne krajobrazy księstwa zwróciły uwagę uczonego do wspomnień.

— Nic się tu nie zmieniło — zawołał, patrząc na wybrzeże, skąpane w cudnym blasku południowego słońca.

— Dawno był pan w Monaco?

— Około roku 1840go — odparł Vogt. — Było to za panowania poorzednika waszej ksią-

---

Chłopczyna jeszcze gwałtowniej kręci czapką i oczy połyskują mu napływającemi łzami...

Na szczęście, wdaje się w to pani Rawska. Zbliża się ona do chłopca, po macierzyńsku głaszcze go po ostrzyżonej głowie i spokojnemi słowy ponawia zaproszenie męża, nic o wynagrodzeniu i doskonałości jadła nie wspominając.

Chłopiec uśmiecha się przez łzy, w rękę ją całuje, i mówi:

— Przyjdę proszę pani, przyjdę... Wolę przecie z państwem siąść dziś do kolacji, jak z tymi łobuzami z naszej cukierni, co mi ciągle urągają...

— Interes załatwiony! — wykrzykuje radośnie fabrykant powozów i uprzęży dla koni. — A ponieważ nic już mnie tutaj nie wstrzymuje, po raz ostatni przeto: do widzenia. Do wi-dze-nia!

I wybiega jak wystrzelony z armaty, dudniąc głucho po schodach miękkiemi podeszwami gumowych kaloszy.

II.

Przy różowych sukniach pani Rawskiej i jej córeczki, przy blado-kawowym stroju panny Anzelmy, przy czarnym tużurku pana domu i białym... śliniaczku najmłodszej pociechy, (którą przy zachowaniu wszelkich ostrożności, matka na kolanach trzymała), bardzo dobrze odbijał granatowy mundurek gościa.

Chłopiec bowiem z cukierni sprawił wszystkim niespodziankę i przyszedł w mundurku.

Wprawdzie u mundurka tego srebrne guziki zastąpione były czarnymi, a wypustka na kołnierzu była odpruta, mimo to jednak, nie przestał on być mundurem.

— Któż ci to, kawalerze, darował ten uniform? — spytał chłopca Rawski.

— To mój własny mundur gimnazjalny...— objaśnił chłopiec, prostując się, jak przystało człowiekowi umundurowanemu.

— Gimnazjalny? — zadziwił się fabrykant. — A jakież to ty gimnazjum kończyłeś: Lursa czy Semadiniego?

— Nie kończyłem żadnego — wyjąkał. — Przeszedłem tylko pierwszą klasę i byłem w drugiej dwa kwartały... Ale właśnie rozdawali nam wielkanocne cenzury, kiedy mama umarła...

Objaśnienie to usposobiło poważniej pana Rawskiego i jego rodzinę. Zaczęto z większą uwagą przyglądać się chłopcu, a panna Anzelma, przyrodnia siostra pani domu, uczuła w swem staropanieńskiem sercu iskrę sympatji dla tego biednego sieroty.

— Co tam, kawalerze! Co się stało, to się nie odstanie! — wyrzekł Rawski, widząc zapływające łzami oczy chłopca. — Łyknij trochę węgierskiego, to zaraz ci ulży na sercu.

I nalał wina chłopczynie, który wypił je duszkiem, nie śmiąc odmawiać.

Tymczasem stara panna, siedząca z drugiej strony, kładła mu przy talerzu pierniki i bakalje, zachęcając do jedzenia.

— A ojciec kawalera nie żyje? — spytała serdecznie, wsuwając mu w kieszonkę duży piernik marcepanowy.

— Dziękuję pani. Ojciec umarł, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Wcale go nie pamiętam.

— Ale, ale! — zawołał nagle Rawski. — Zapomnieliśmy o rekomendacji. Ja pierwszy przedstawiam się kawalerowi. Jestem Władysław Rawski, fabrykant powozów i uprzęży dla koni. „Wybór wielki. Ceny umiarkowane. Pośpiech i elegancja". A kawaler?

— Ja... ja także jestem Władysław.

— Władysław? A to się dobrze składa. Spodziewam się jednak, że nie Rawski?

— Nie. Władysław Bolewicz. Mam imię ojca, a nazwisko matki.

— Jakto? więc ojciec inaczej się nazywał, niż matka?

— Tego nie wiem. Powtarzam tylko to, co mi mama często mówiła. Dodawała też zawsze, że ojciec był niedobry, i że dużo złego wyrządził i mnie i mamie... Ale niepotrzebnie mówię to wszystko... bo cóż to państwa może obchodzić!

Widocznem było, że chłopczynę rozgrzało wino, i że spowiada się z tajemnic rodzinnych, których w innym razie nie odkryłby nikomu.

Dalsze jego zwierzenia przerwał tryumfalny wjazd... ciastek z makiem, które pięcioletnia panna Rawska powitała okrzykiem radości. Przez kilka chwil słychać było jedynie szczękanie srebra i porcelany, oraz półgłośne upomnienia, dawane przez pannę Anzelmę, małej żarłoczce.

— Władziu, budzę cię! — zawołała nagle pani Rawska, rzucając w męża okruchem strucli.

— W kolorze?

— W żadnym kolorze. Budzę cię po prostu dlatego, że tak się mocno zamyśliłeś, jakbyś zasnął.

— Ja? cóż znowu! — odparł żywo Rawski. — Ani mi w głowie nie powstały żadne zamyślenia. Rozmarzyło mię tylko trochę wino — nic więcej...

I zwracając się do chłopca, rzekł:

— Więc powiadasz, panie Władysławie, że ojciec twój był niedobrym?

— Ja nic nie powiadam... — odpowiedział chłopiec przestraszony własną śmiałością — to tylko mama tak mówiła...

— A cóż on złego zrobił twojej mamie?

— Mama musiała przez niego porzucić swego ojca, a mojego dziadka i poróżnić się z całą familją...

— Dlaczego?

— Nie wiem... mama mi tego nie powiedziała...

— Coś w tem dwuznacznego... — wtrąciła półgłosem Rawska, przez pół do męża, przez pół do siostry przyrodniej.

— Niezawodnie — przytaknął Rawski i rozlawszy wino w kieliszki, wzniósł toast:

„Obyśmy za rok, tak samo jak dzisiaj, w dobrem zdrowiu i powodzeniu wilję obchodzili"...

Ruszono się z miejsc; rodzina poczęła się ściskać i całować.

Przez chwilę panowało przy stole radośne zamięszanie

O obcym chłopcu zapomniano.

Gdy powrócił wreszcie porządek, obejrzano się za nim...

Stał w kącie pokoju, poza olbrzymią choinką obwieszoną świecidłami — i płakał...

— Cóż to, kawalerze? — spytała troskliwie panna Anzelma, i wstawszy ujęła go za rękę i do stołu przywiodła.

— Nic... nic... — jęknął chłopiec, obcierając rożkiem serwety zaczerwienione powieki. — Przypomniałem sobie swoją zeszłoroczną wilję... i coś mnie w gardle ścisnęło...

— A gdzież kawaler był w zeszłym roku na wilji?

— U mamy... w Lublinie...

— To mama w Lublinie mieszkała? — zapytał żywo Rawski.

— Tak. Dawniej mieszkała w Warszawie, ale ja już tego nie pamiętam... Mówiła mama, że jeszcze roku nie miałem, kiedy ze mną do Lublina przybyła.

— I czemże była mama... to jest: czem się zajmowała? — rzuciła zapytanie z drugiego końca stołu pani Rawska

— Zajmowała się szyciem. Z początku chodziła na robotę do cudzych domów, pozostawiając mnie, nieraz na cały tydzień, w pokoiku na facjatce, gdzieśmy mieszkali. Było mi wtenczas bardzo smutno... Często także jeść mi się chciało, a w domu nic do jedzenia nie było. Zaglądała tam czasem szewcowa z przeciwka i przynosiła bułkę, albo co ciepłego w garnuszku. Ale często, jak jej wyszło z pamięci, to nie zajrzała. Za to jak mamusia wróciła z roboty, było u nas wesoło. Jedliśmy ciastka, śmieliśmy się, śpiewali. Jednej tylko piosneczki nie mogła nigdy mamusia śpiewać bez płaczu...

żęcej części, Honorjusza IV. Dom gry jeszcze wówczas nie istniał, a książę, aby wydobyć z księstwa trochę pieniędzy, wziął się do tworzenia najrozmaitszych monopolów. Ludność księstwa była uboga, bo, jak twierdzi piosenka ludowa w Monaco: *non vino, non olio, ma vivere voglio* (niema ani wina, ani oliwy, a jednak chcemy żyć). Otóż sam widziałem, jak książę Honorjusz kupował w Marsylji ogromne zapasy chleba, wypiekanego z zepsutej mąki, głaszał w księstwie monopol rządowy na chleb i darł mieszkańców ze skóry. Później w ten sam posób sprowadzał rząd do księstwa odzież tandetną i sprzedawał ją mieszkańcom po cenach możliwie wysokich.

Książę uśmiechnął się gorzko i coprędzej pożegnał prawdomównego uczonego. Na tem skończyła się sprawa akwarjum. Książę słyszeć już nie chciał o Vogcie, który powrócił do Szwajcarji, skarżąc się na nieprzychylne dlań losy.

U stóp pomnika.

(Na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie.)

Że z nas powstałeś i dla naszej chwały.
Struny Twej lutni tak potężnie grały,
Że miłość ku nam wplotłeś w własne życie,
Odlany w spiżu, wsparty na granicie.
Jak dąb stuletni na tej ziemi zrosły
Stanąłeś taki wielki i wyniosły.

Nieśmiertelnego Twego ducha czczono
I wtedy — kiedy w obcej ziemi łono
Kładli Twe szczątki i wtedy, gdy one
W prastarym grodzie zostały złożone,
I dziś, gdy naród jedna myśl przenika
Oddać wieszczowi hołd u stóp pomnika.

I oto słychać szmery tajemnicze
Tłumów, co płyną tu wezbraną falą,
Aby zobaczyć szlachetne oblicze,
Podsycić znicze, co się wkoło palą,
I chwytać uchem wibrujące tony,
Tego co cierpiał i czuł za miljony.

I co przynieśli, o wieszczu jedyny,
Ci wszyscy, co się dziś do Ciebie garną?
Czyli Twe myśli przyoblekli w czyny?
Czyli z Twych siewów wydobyli ziarno?
I czy pragnienia w Twych księgach zawarte
Wtłoczyli w życia powszedniego kartę?

I czy ich serca biją w takt pochodu,
Co uporczywie od tylu stuleci
Ku zrumienionym widokręgom Wschodu
Dąży i ufność w ludzkich piersiach nieci?
I czy ten orszak świetlanego dwora
Dziś jest liczniejszy, niżeli był wczora?

Z źródła miłości, co wiecznie wytryska
Czyli ich dłonie nie czerpią leniwie?
Czy do wielkiego schodzą się ogniska
Lub przy dymiącem zbłąkani łuczywie —
Czy z odrętwienia, lub też z chęci braku
Nie mogą znaleść przydróżnego znaku?

Jeżeli młodość zakreśliła koła
Złote, przez Ciebie wymaganej próby,
Czy z gwiazd koroną u białego czoła
Niesie znamiona potęgi i chluby?
I czy się ramię do ramienia zbliża
W myśl poświęcenia, bijącego z krzyża?

I czy serdecznie pieśń rozkołysana,
Kiedy za życia Twem marzeniem całem
Było: ją słyszeć pod strzechą włościana
— Jako zwiastunka świtu brzmi hejnałem
Czy tam myśl z pracą w jedną całość zlane,
Goją powoli jątrzącą się ranę?

—

Cisza... o! wielki Arcymistrzu słowa,
Niejedna spadnie tu łza brylantowa..
Niejeden zastęp ludzi się przerzedzi,
Nim uwolniony świat z pleśni i śniedzi
Wzniesion na skrzydłach cudotwórczej pieśni,
Twe ideały wielkie ucieleśni.

Warszawa w grudniu 1898.

Bolesław Sz. Wolski.

Wigilja na północy.

Ze wszystkich zwyczajów, jakie przywiązane są do obchodu niektórych uroczystości wielu narodów, najmniej są pewnie znane u nas obyczaje Szwedów... Że są ciekawe, może nawet tu i owdzie zbliżone do naszych — czytelnik łatwo osądzi choćby z poniższego opisu wigilji.

Święto zaczyna się już od godziny dwunastej w południe, chociaż w „towarzystwie" cokolwiek później. Zaczyna się zwykle od *„doppa* i *„grytan"*, to jest maczania chleba w garnku, w którym gotuje się szynka, pierś wołowa i t. p. na dzień następny. Wszyscy domownicy, nie wyłączając służby, biegną do kuchni i tam, mimo wrzekome protesty kucharki, starają się swój kawałek chleba umoczyć we wrzątku, snując ztąd wróżby i przepowiednie. Zwyczaj ten wszakże praktykuje się już dziś tylko na dalekiej, a „zacofanej" prowincji.

W kilku okolicach, a zwłaszcza u starych Finnów, zaraz z południa wszyscy idą do... łaźni: najpierw mężczyźni, następnie kobiety. Gospodarz domu po powrocie z kąpieli kładzie się do łóżka, poci się, orzeźwia domowem piwem, nasyconem sporą ilością miodu i anyżu, poczem dopiero jest najzupełniej gotów do tak ważnej pracy, jak... jedzenie.

Zapala się wszędzie ogień świąteczny: na kominie, na stołach, na ścianach... Wniesione pęki żytniej słomy rozrzuca się na całej podłodze izby jadalnej, na grubość kilku cali i to nakrywa się dywanem lub kilimkiem, stosownie do zamożności gospodarza. Jestto na pamiątkę posłania Dzieciątka Jezus w stajence. Na tej też słomie wszyscy domownicy wspólnie sypiają przez dni świąteczne.

Gdy rozpalono już światło i ogień na kominie, wszyscy domownicy, ubrani odświętnie, zajmują miejsca przy wigilijnym stole, nakrytym białym obrusem, na którym ustawia się zapalone świece, po jednej przed każdym z uczestników wieczerzy... Uroczystość gospodarz rozpoczyna modlitwą o szczęście i pomyślność dla całego domu, poczem dopiero wszyscy piją wódkę. Gospodarz i gospodyni zajmuje stanowisko usługujących przy stole, służba zaś i dzieci — występują w charakterze gości. Ciche szczęście i zadowolenie promienieje ze wszystkich twarzy... Nieuniknionemi potrawami są: *„lutfisk"* i *„grött"*, to jest stokfisz i kasza wigilijna. Tę ostatnią nierzadko wieśniak szwedzki przygotowuje z ryżu, zawsze zaś doprawiana jest tłuszczem, miodem, cynamonem i... solą. Bez *brännoin, lutfisk och grött* — czyli bez wódki, stokfisza i kaszy — niema wigilji w Szwecji.

W niektórych miejscowościach jedzą po wieczerzy fasolę, lecz każdy zjada tylko jedną dla zwyczaju; po wieczerzy wszyscy śpiewają pieśni nabożne i psalmy, zbliżone nieco do naszych kolend; o czwartej zaś rano idą do kościoła na mszę pasterską. Każdy z przedstawicieli danej wioski musi koniecznie przed swymi nieść płonącą pochodnię, w ten sposób w okół kościoła tworzy się wspaniała iluminacja.

Ale... zmieniają się czasy, a z niemi i ludzie. Dziś i w Szwecji pasterki odbywają się o siódmej rano, a wielu idzie tylko dla zobaczenia iluminacji kościoła, lub wcześniejszego wypicia jednej lub kilku szklanek gorącego *glögg*, coś w rodzaju naszego krupniku z gotowanej wódki, koniaku lub wina z cukrem, rodzynkami i korzenną przyprawą. Jest to napój konieczny w święta i do godności narodowego napoju świątecznego podniesiony.

Wreszcie należy także do zwyczaju, że jeśli przyjdzie ktoś obcy w święta do szwedzkiej chaty, stanowczo nie zostanie wypuszczonym wcześniej, aż skosztuje wigilijnych potraw i napije się świątecznych trunków.

Ślizgawka!..

Brzęczą łyżwy, błyszczy lód,
Rumienią się twarze!
Toż uciechy będzie w bród —
Cieszą się łyżwiarze.

Iskry krzesze ostra stal,
Lód pryska z pod nogi.
Lotem ptaka pędzą w dal,
Dalej! na bok!... z drogi!..

Zgrabne pary chyżo mkną,
Mijają się, gonią!
Pod żakietem serca drżą,
Twarzyczki się płonią!

On w jej oczu patrzy toń
I coś szepce mile,
Ona ściska jego dłoń,
Szybko biegną chwile!

Hej — po lodzie łatwo mknąć,
I snuć marzeń roje,
Lecz ostrożnem bardzo bądź,
Lube dziewczę moje!

Bo daleko trudniej wszak
Iść razem przez życie,
Niźli bujać, jako ptak,
Po marzeń błękicie!

Czułe słówka, zdradna sieć,
Serduszko w nią wpadnie,
Można kłopot później mieć,
Może być nieładnie!

On się ślizga z inną znów,
Niepomny na ciebie,
I niepomny wspólnych snów,
Bujania po niebie!

A tyś sama; smutek, żal
Napełnia twą duszę,
On pomyka z inną w dal..
Okrutne katusze!

Nie wierz dziewczę, chłopcu, nie,
I nie licz na niego,
Choć z nim miło ślizgać się,
Miło chwile biegą!

Brzęczą łyżwy, błyszczy lód,
Rumienią się twarze!..
Toż uciechy będzie w bród —
Cieszą się łyżwiarze!

Hej, po lodzie łatwo mknąć,
Snując marzeń roje,
Lecz ostrożne bardzo bądź,
Lube dziewczę moje!

Faust polski.

W ostatnim zeszycie wiedeńskiego czasopisma *Die Zeit*, spotykamy artykuł p. Harzen-Müllera z Charlottenburga pod tytułem „Twardowski, słowiański Faust", w którym autor zaznajamia nas z losami, jakie w Niemczech przechodziło podanie o sławnym magiku krakowskim XVI. wieku, oraz znana ballada Mickiewicza. Postać Twardowskiego z tem wszystkiem, co fantazja narodowa do niej przywiązała, jest wedle p. Müllera odbiciem rozpowszechnionej niemieckiej baśni o doktorze Fauście, który, jak wykazały nowe badania historyczne, żył istotnie w Wirtembergji około roku 1520. Stare podanie niemieckie opowiada, że Faust przebywał pewien czas w Wiedniu, że w Krakowie uczył się magji i że był także w Pradze, gdzie dotąd istnieje „dom Fausta". Być może, że dałoby się tym pobytem w Krakowie i Pradze objaśnić początek „słowiańskiej baśni faustowskiej", lecz faktem jest, iż ta baśń słowiańska o „panu Twardowskim" i „pani Twardowskiej" rośnie równolegle z baśnią niemiecką i niezależnie od niej dalej się wykształciła. W każdym razie nazwisko Twardowskiego wskazuje, że Polska jest kolebką podania o Fauście słowiańskim.

Autor kreśli czytelnikom niemieckim pokrótce postać słynnego krakowskiego czarnoksiężnika, przytacza podanie o tem, jakoby on zapomocą metalowego zwierciadła, które wedle Henr. Nitschmana (*Gesch. der poln. Litteratur.* Lipsk 1883) przechowane było do niedawna, pokazał ostatniemu z Jagiellonów widmo ukochanej Barbary i zwraca uwagę, że coś podobnego spotykamy u Getego w „Fauście" (część II akt I), który przed cesarzem i dworem wywołuje o zmroku nieżyjącą postać kobiecą. Podobnie, jak niemieckiemu Faustowi, przypisują także Twardowskiemu pozostawienie licznych pism, mianowicie łacińskiej encyklopedji *Liber vigint* i *artium*, co jest jednak błędnem, gdyż książkę tę napisał uczony żyd pragski Paweł Židek około r. 1450. Faust polski różni się zasadniczo od niemieckiego swojem usposobieniem. Nie zajmuje się on metafizyką, jest tylko rycerskim szlachcicem, wesołym kochającym życie i używającym go *bon-vivant*'em. W pewnym stopniu odbija się tu różnica usposobienia obu narodów, które te postacie wytworzyły.

Podanie o Twardowskim nie zostało przez poetów polskich wyzyskane należycie. Przed nimi już w r. 1802 zużytkował je królewski radca J. L. Schwarz w Poznaniu, który w berlińskiem czasopiśmie *Brennus* ogłosił balladę „Twardowski, podanie ludowe polskie". Ballada o formie bardzo niewykwintnej sławi miłość honoru szlachcica, który raczej narazić się wolał na tortury djabelskie, aniżeli złamać swoje *verbum nobile*. Dopiero w 20 lat potem Mickiewicz unieśmiertelnił Twardowskiego. Pierwszym niemieckim tłumaczem dzieł Mickiewicza był baron v. Blankensee w Szczecinie (w druku ukazał się tylko tom pierwszy, w Berlinie 1836). Tłumaczeniami ballad Mickiewiczowskich zainteresował się słynny kompozytor ballad Karol Loewe, zamieszkały wówczas także w Szczecinie, i stworzył muzykę do kilku utworów Mickiewicza: „Czaty", „Pierwiosnek", „Trzech budrysów", „Switezianka" itp. Utwory te nkazały się w druku z niemieckim tekstem br. Blankensee częścią w Berlinie, częścią w Poznaniu od r. 1835 do 1842. „Czaty" z muzyką Loewego spopularyzowały się nawet w Niemczech.

Do tych ogłoszonych ballad Loewego-Mickiewicza-Blankenseego należy dodać jeszcze nieogłoszoną dotąd nigdzie balladę „Pani Twardowska". Jestto pierwsze pojawienie się Fausta polskiego w muzyce. Rękopis muzyki Loewego znajduje się obecnie w zbiorach bibljoteki królewskiej w Berlinie z tekstem niemieckim, opatrzonym licznemi poprawkami, oraz polskim, pisanym ręką br. Blankensee. Ballada jest skomponowaną na śpiew z towarzyszeniem fortepianu i ma być, wedle p. Müllera, „interesującą i wysoce oryginalną" i wybornie maluje treść. Po blisko półwiekowem spoczywaniu w rękopisie, „Pani Twardowska" ukaże się wkrótce w ogólnym zbiorze ballad Loewego, nakładem berlińskiej firmy wydawniczej Breitkopf i Härtel.

Postać Twardowskiego posłużyła w bliższym nam już czasie jako temat dla rysowników, pisarzy dramatycznych i muzyków operowych. W r. 1863 wyszło w Poznaniu pięć kartonów A. Zaleskiego p. t.: „Pani Twardowska, ballada Mickiewicza". Oryginał znajduje się w królewskiej bibljotece w Berlinie. Oprócz znanego utworu J. K. Kamińskiego („Twardowski na Krzemionkach"), istnieje opera chorwacka, muzyka dyrektora akademji Jana Zajsza. „Twardowski" do słów poety Józefa Tomicza. Graną była w r. 1880 w Zagrzebiu. Wszędzie jednak polskie podanie o Twardowskim rozwijało się niezależnie od niemieckiej baśni o Fauście i zachowało czysty charakter narodowy. *c.*

W dzień radości.

Chciałbym, by wszyscy ludzie na świecie,
Mieli kęs chleba choć czarny —
Jedną koszulę całą na grzbiecie,
A w piersiach ogień ofiarny!
By zaprzestała już ludzka mowa
Klątw i złorzeczeń raz szerzyć,
A wszyscy chcieli w te wzniosłe słowa
„Kochaj bliźniego!" uwierzyć.

K. Laskowski.

O zmroku.

Lubię was i boję się zarazem... wy, długie szare godziny umierającego dnia.,.

Lubię siedzieć samotnie, patrząc na gasnący dzień, który przez koronkowe zasłony okien rzuca ostatnie, drżące, błędne cienie, zalewa pokój zimnemi, sinemi tonami, wśród których nikną kształty mebli, bledną koloryty i wszystko zda się dławić w jednostajnej, szarej, melancholijnej barwie...

Lubię ten schyłek zamierającego dnia, rzucającego jakieś posępne *memento mori* na pamięć gorących, jak sploty blond warkoczy, promieni słonecznych...

Jest coś tajemniczego, mistycznego w tych schyłkach dnia, coś, co mimowoli naprowadza myśl na zapomniane groby, na rozsypujące się ruiny dawno przebrzmiałych potęg, coś, co przypomina dawno przepłakane łzy, przeszłe smutki i radości...

I nieraz w ciszy tych szarych godzin, z zawładniętych mrokiem kątów wychodzą lekkie, eteryczne, spowite w mgłę ulecialych dni widma dawniej widzianych, dziś zmarłych lub zapomnianych postaci,..

I przychodzą one jedne za drugiemi, jak cienie Pól Elizejskich, te z uśmiechem na twarzy, lekkie i wesołe, jak *luciole* równin włoskich, te posępne, ponure, stąpające powoli, nieznośne dla oka, jak widma Makbetowe...

I słyszymy w tej ciszy różne szepty i melodje, zapomniane a drogie, w jednej nucie niosące wspomnienie promiennych dni szczęścia...

Szczęśliwy ten, komu wśród lekkich, powiewnych wizyj przeszłości nie przesunie się nagle, burząc spokój i radość, jak zgrzytliwy dysonans wśród niebiańskiej harmonji, trupio blady, w całuny odziany cień ukochanej istoty...

Szczęśliwy, kto może wzrokiem sięgnąć w swą przeszłość i zmrużywszy powieki, w ciszy szarej wieczora, wywoływać drogie mu postacie i cienie; szczęśliwy, kto może bez łzy jednej przejrzeć ich długi, w mgle ginący korowód...

Feljeton o modach.

Dans la toillette les détails sont le cachet d'un bon goût.

Tak ongi zawyrokował Worth I., a posłuszne jego autorytetowi elegantki z niestygnącym nigdy zapałem dążą do coraz nowych zmian i uzupełnień w szczegółach swoich tualet.

„Nic nowego pod słońcem" — mówi przysłowie.

„Ciągle coś nowego na elegantkach" — mówi kodeks mody.

Coś nowego, ale co?...

— Jakież zmiany zauważyłeś w przyborach kostjumów damskich — pytam znanego z ogłady pana, który świeżo powrócił z Paryża i o którym wiem, że płeć nadobną lubi studjować z bliska.

Stanął zadumany, strojąc się w powagę augura i po chwili milczenia na pytanie odpowiedział pytaniem:

— A jakie też rękawiczki noszą obecnie warszawskie elegantki?

— Naturalnie, że białe. Dlaczegoż nawet pytasz się o to? Czyżeś wzrok stracił człeku nieszczęśliwy? czy też — co bodaj większą jest niedolą — Warszawianki obchodzić cię przestały?!...

— Białe — powiadasz? Białe?... To źle, to bardzo źle! Białe rękawiczki — ależ to moda przeszłości. Dziś żadna szanująca się Paryżanka, ani do teatru, ani na zabawy wieczorne rękawiczek glansowanych nie włoży. Dziś tylko duńskie — w różnych jasnych odcieniach. Białe uchodzą jedynie przy ciemnym angielskim kostjumie.

Po tej enuncjacji, pan, który świeżo przybył z Paryża, zatonął w tęsknej zadumie, zapewne biadając nad zacofaniem elegantek warszawskich. Chciałem indagować go dalej, lecz, nieszczęściem dla mnie i „dla pań", zjawił się kolega „od polityki" i, żądny, snać, poważniejszych wyjaśnień, zabrał mi mojego augura.

Srodze tem strapiony, gdzieindziej zwrócić się musiałem po dalsze dla czytelniczek wskazówki.

A jest ich sporo.

Oto, na przykład, dziś, o piękna pani, wybierasz się do teatru i rozmyślasz nad tem: jak się ubrać?

Przyda ci się zatem wskazówka, że jasne bluzki ustąpiły w teatrze miejsca ciemnym lub nawet czarnym stanikom z tiulu, naszytym całkowicie bądź dżetami i perełkami, bądź też nieśmiertelnemi *paillettes*. Tych błyskotek moda wręcz nadużywa teraz w Paryżu.

— *Il faut être étincelante pour être au goût du jour*, rzekła niedawno z tego powodu księżna Murat.

Taki iskrzący się stanik ma rękawy nader obcisłe, półdługie, zakończone u łokcia koronką lub jasną torsadą aksamitną; taka sama torsada służy również za przybranie włosów.

Ale bo też czego dziś z temi włosami nie robią! Wprawdzie zeszłoroczne nadmierne karbowanie i spuszczanie włosów z tyłu głowy wyszło już nieco z mody. Ale ostatnią nowością jest np. taka oto koafiura:

Głowa uczesana gładko; z lewego boku ponad czołem przedział; na środku czoła duży *toupet*, który przykrywa też połowę głowy; wszystko zaś uwieńczone ogromnym puklem z przyprawionych włosów — gdyż, o zgrozo! przyprawne pukle i loczki walczą zawzięcie o prawo obywatelstwa. W takiem uczesaniu trudno dopatrzeć się wdzięku, ale przynajmniej damie, podobną dźwigającej koafiurę, nie zbraknie nigdy... *tupetu*...

Jeśli więc paniom o to tylko chodzi...

„Sztuka czesania używa w naszych czasach różnych środków, które mają to na celu, aby jak najlepiej naśladować naturę".

Tych słów Laurenta nie można, oczywiście, zastosować do dzisiejszego modnego uczesania, zwłaszcza, że do wszelakich uczesań są noszone w r. b. egretki, przypięte do włosów brylantowemi broszkami,

Ażeby ten dział przepisów mody w teatrze zakończyć, dodam jeszcze, że wachlarze skurczyły się obecnie do minimalnych rozmiarów, a natomiast okrywki na głowę są noszone coraz to większe i coraz ozdobniejsze.

A ubiór na przechadzkę?

Tutaj najnowszą nowością, *„tout ce q'il y a de plus smart"* — jak się to obecnie mówi w Paryżu — jest bolero, całe z foki lub kasztanków *(breitswants)*, nieco dłuższe z przodu, z szeroko wywiniętemi wyłogami, z jasnego aksamitu, w odcieniu, dobranym do koloru spódnicy. Takie bolero bywa noszone zapięte lub odpięte, jak kto woli; w ostatnim razie z pod wyłogów kaftanika wyłania się żabot, koronkami przybrany. Przytem wyłogi aksamitne zastąpić można łabędziami, które stały się ostatnią nowością sezonu, rugując nawet tak modne na jesieni szenszyle.

Mówiąc o kaftanikach, trudno o mufkach nie wspomnieć — tem bardziej, że tegoroczne zarękawki wcale do ułamków nie należą. Owszem, są wogóle duże i zwłaszcza mocno wydłużone, nakształt tych, jakie w roku 1830 nosiły nasze prababki.

Czy moda ta, mimowoli nasuwająca na myśl duże mrozy, nada się do tegorocznej zimy — o tem można wątpić; ale że się nada do gustu i... kieszeni kuśnierzów — to rzecz niewątpliwa.

Biedni mężowie!...

— Jakaż to piosneczka? — spytała ciekawie panna Anzelma, wielka zwolenniczka śpiewu.

— Zaczyna się tak:

Przepłynęły już zdroje,
Nie przepłyną łzy moje..
Nie ucichną me płacze,
Aż lubego zobaczę...

— Słyszysz, Władziu? — zauważyła Rawska — to przecie twoja ulubiona piosneczka...

— To i cóż z tego. Ja przecie nigdy nie płaczę, jak ją śpiewam. Ha! ha! ha!

Śmiejąc się, nalał sobie kieliszek likieru i wypił jednym łykiem.

Tymczasem chłopiec, którego wino czyniło coraz wymowniejszym, opowiadał dalej:

— Było u nas przez długi czas bardzo biednie. W lecie słońce paliło jak ogień, w zimie znowu mróz ściskał, że się nie chciało wyjść z pościeli. Ale mamusia póty pracowała dniami i nocami, aż zebrała kilkadziesiąt rubli. Przenieśliśmy się wtenczas z trzeciego piętra na drugie i mama kupiła jedną maszynę za gotówkę, a drugą wzięła na kredyt. Potem przyjęła pannę do pomocy i zaczęła brać robotę do domu. Opłacało się to mamusi lepiej, i wtenczas też oddała mnie do gimnazjum....

— Musiał matce ktoś dopomagać... jakiś mężczyzna zapewne... — wtrącił Rawski, ust od kieliszka nie odejmując.

— U nas żaden mężczyzna nie bywał — odparł chłopiec. — Mamusia nie pozwalała przychodzić żadnemu, choć było kilku takich, co się chcieli ożenić z mamusią...

— I dlaczegoż mama nie chciała wyjść za mąż? — spytała ciekawa Anzelma.

— Nie wiem. Mówiła mamusia czasami, że to przez mego ojca i... przezemnie...

Kobiety zamieniły między sobą znaczące spojrzenie — i po ustach przemknął im uśmiech ale smutny jakiś...

— A jakim sposobem dostał się kawaler do Warszawy? — zapytała Rawska, kładąc chłopcu na talerz dużą porcję owoców, jakby chciała w ten sposób współczucie swe objawić.

— Mamusia, jak już była bardzo chora, powiedziała do mnie: „Jak umrę, otworzysz dolną szufladę od komody i znajdziesz tam zawinięte w starą gazetę trochę pieniędzy. Z pieniędzmi temi pojedziesz do Warszawy i odszukasz Piotra Bolewicza, lakiernika. Dawniej mieszkał na Ogrodowej, pod numerem czterdziestym szóstym. Od dziesięciu lat nie miałam od niego żadnej wiadomości. ale wiem, że żyje. Jest to mój ojciec, a twój dziadek. Powiesz mu, że mnie na świecie już niema. i poprosisz, żeby się tobą zaopiekował..." — Zrobiłem, jak mamusia chciała i odszukałem dziadka, ale przyjął on mnie bardzo źle. Nie kazał nazywać się „dziadkiem", tylko „panem", a jak wyczytał w kurjerku, że do jednej cukierni potrzebują chłopców, zaprowadził mnie tam czemprędzej i oddał ze wszystkiem. A na odchodnem powiedział jeszcze, żebym się nie ważył nigdy do niego przychodzić, bo mnie za drzwi wyrzuci...

— A to jakiś niegodziwy człowiek! — zauważyła ze szczerem oburzeniem panna Anzelma.

— O tak! — przytaknął chłopiec. — A najbardziej tem mi dokuczył, że na mego ojca wygadywał różne niegodziwości. Żebym był starszy i mocniejszy, tobym mu z pewnością nie darował.. ale cóż miałem robić! rozpłakałem się i na tem koniec. A w tej cukierni to mi tak źle, że już chyba gorzej nigdzie być nie może. Inni chłopcy poszturkują mnie i wykpiwają, a pryncypał ciągnie za uszy i za włosy i pstyczki w nos daje. Ja takbym chciał uczyć się i wyjść na porządnego człowieka, jak moi koledzy z gimnazjum, a tymczasem jak mnie który z subjektów znajdzie nad książką, to ją zaraz z rąk wyrywa i drze na kawałki... Może też Pan Bóg zlituje się nademną i do mamy mnie zabierze!

Na tem zakończył swe opowiadanie.

Ponieważ skończyła się jednocześnie i wieczerza, wstali więc wszyscy od stołu.

Zaproszeni goście mieli nadejść lada chwila, z pośpiechem przeto wzięto się do uprzątania nieporządków i poprawiania toalet.

Pomimo pewnego zajęcia, jakie obudził chłopiec swem opowiadaniem, dano mu bez ceremonji do zrozumienia, że może już iść sobie do domu.

Pocałował więc on w rękę panią domu i jej siostrę, ukłonił się wszystkim zamaszyście i wdziawszy swój, wiatrem podszyty paltocik, opuścił mieszkanie fabrykanta powozów i uprzęży dla koni.

Rawski wyszedł za nim do przedpokoju i milcząc, otworzył mu zatrzask u drzwi wiodących do sieni.

Chłopiec ukłonił mu się raz jeszcze i stawiając nogę na pierwszym stopniu schodów, usłyszał, że się drzwi napowrót zatrzasnęły.

Ale, gdy już był na połowie schodów, zatrzymał się...

Zdawało mu się, że go ktoś woła...

Obejrzał sie i ujrzał Rawskiego, z gołą głową, przegiętego przez poręcz i wołającego przyciszonym głosem:

— Władysławie... Władziu...

Pośpieszył czemprędzej na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz i stanął przy wołającym.

Rawski był blady i zapinał tużurek pod samą szyję, drżąc, — z zimna zapewne.

— Władziu... — rzekł, biorąc chłopca za rękę — czy twoja matka wspominała co przed śmiercią o ojcu?

— A jakże, proszę pana. Mówiła: niech mu tak Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczyłam...

Zaledwie chłopczyna wyrzekł te słowa, uczuł się pochwyconym w silne objęcia, uniesionym w górę i okrytym pocałunkami, które mu spadły jak grad: na policzki, na usta, na oczy, na czoło, a nawet na włosy ostrzyżone krótko i odsłonięte, skutkiem spadnięcia czapki na ziemię.

W tej chwili dał się słyszeć głuchy turkot wjeżdżającej w bramę karety.

Rawski puścił chłopca i własną ręką czapkę z ziemi podniósłszy, wsadził mu ją z pośpiechem na głowę. Jednocześnie, prędkim i urywanym głosem szeptał mu do samego ucha:

— Bądź zdrów... goście przyjechali... będzie wszystko dobrze... przyjdź jutro...

I zanim oszołomiony chłopiec zdołał zdać sobie sprawę z tego niespodzianego wybuchu, otworzył własnym kluczem drzwi od mieszkania i zniknął za niemi...

III.

Wesoło i hucznie bawiono się tej nocy w gościnnym domu fabrykanta powozów i uprzęży dla koni.

Sam tylko gospodarz, silną migreną trapiony, nie przyjmował udziału w ogólnej wesołości, a nawet i mniej był gościnnym niż zwykle.

Kiedy nad ranem goście się rozjechali, rzekł on nagle do żony:

— Wiesz, duszko? Tak mi się podobał ten chłopiec z cukierni, że postanowiłem zająć się jego losem. Zaraz po świętach oddam go do szkół, umieszczę na stancji i dopomogę do ukończenia gimnazjum. A potem, obierze sobie zawód, jaki mu się najlepiej podoba. Jednem słowem, zaopiekuję się nim, jak synem...

— Jak synem... — powtórzyła Rawska, niby echo, zatapiając w twarzy mówiącego przenikliwe spojrzenie swych bystrych, ciemnych oczu...

I długo tak małżonkowie patrzyli na siebie w głębokiem milczeniu, zamyślając się coraz bardziej i smutniejąc. Aż nagle źrenice Rawskiej zwilgotniały i zabłysły, rzęsy jej opuściły się na dół — i szepnęła:

— Może to i lepiej...

Kolenda dla Szląska.

Lwów 23 grudnia.

Z dumą i zadowoleniem, do jakiego dość rzadko niestety miewamy sposobność i uzasadnienie należyte, donieśliśmy dzisiaj w rubryce telegramów o rozporządzeniach językowych prezydenta ministrów hr. Thuna i ministra sprawiedliwości dra Rubera, wydanych dla Szląska. — Mimochodem zauważymy, iż wśród prasy lwowskiej jedyny *Dziennik Polski* przyniósł dzisiaj rano tę wiadomość, sercu polskiemu tak miłą. — Stało się tedy, bodaj w drobnej części, zadość słusznym żądaniom naszej braci w tej prastarej Piastowskiej dzielnicy, buta germańska taką nienawiścią do nas dysząca, straciła z pod nóg kawał ongi nam wydartego gruntu. *Tout l'honneur à tout seigneur!* Pierwsza przeto podzięka należy się bezwarunkowo prezydentowi gabinetu, który tym — acz maluczkim jeszcze — krokiem dowiódł, że jego zapowiedzi o stopniowem zaspokajaniu uzasadnionych postulatów i potrzeb poszczególnych krajów w Austrii, nie były pustym frazesem *ad captandam benevolentiam* prawicy. Następnie uznanie szczere wraz z podzięką wyrażamy dla koła polskiego, którego główną jest zasługą, że hr. Thunowi na sercu położyło krzywdy, zadawane na każdym kroku większości polskiej na Szląsku. O postanowionem już upaństwowieniu gimnazjum naszego w Cieszynie wiemy od kilku dni z ust czcigodnego prezesa koła, p. Jaworskiego. Dzięki mu serdeczne za obie te „kolendy" dla Szląska!

Zapowiedź upaństwowienia gimnazjum cieszyńskiego i dzisiejsze rozporządzenia językowe dla Szląska, to fakta arcydonioslego dla nas znaczenia. Fakta te są też lapidarną odpowiedzią większości koła na oskarżenia, rzucane na nią ze złą wiarą lub lekkomyślnością bezprzykładną, przez naszych „liberałów" i orędowników sojuszu polskiego z niemiecką opozycją. Snać skonfundowani tym rezultatem „szkodliwej" dla kraju opieszałości koła, nie donieśli nawet swojemu *Słowu polskiemu* o świeżo wydanych rozporządzeniach językowych dla Szląska. Zakłopotanie tego rodzaju wśród nalogowych intrygantów, jest zupełnie, a zupełnie dla nas zrozumiałe...

Prowizorjum budżetowe.

Wydział krajowy przedłoży sejmowi na pierwszem posiedzeniu w dniu 28 bm. między innemi sprawozdaniami, także sprawozdanie o prowizorjum budżetowem. Gdy z powodu spóźnionego zwołania sesji sejmowej, sejm nie może uchwalić budżetu na r. 1899 przed rozpoczęciem roku budżetowego, wydział krajowy pragnąc zastrzedz budżetowe prawo sejmu, postanowił przedstawić sejmowi wniosek uchwalenia prowizorjum budżetowego. Jakkolwiek wydział krajowy liczy na to — jak opiewa sprawozdanie, — że sejm w jak najkrótszym czasie zwołany zostanie na dalszą sesję, to jednak z obawy, że budżet nie uzyska przed upływem pierwszego kwartału 1899 najwyższego zatwierdzenia, przedstawia wniosek o uchwalenie prowizorjum na pierwszy i drugi kwartał 1899 r. Uchwała sejmowa obejmować ma upoważnienie do czynienia wydatków zwyczajnych na podstawie budżetu z r. 1898, pobieranie dodatków od podatków według tej samej stopy, jak w roku 1898 i z tego powodu wydział krajowy wnosi, aby w mieście Krakowie, tudzież w powiatach krakowskim i chrzanowskim, pobierać przez czas trwania prowizorjum budżetowego takie same dodatki do podatków, jak w r. 1898 mimo, że w myśl uchwały sejmowej z dnia 6 lutego 1894 zmniejszono ulgi dla opodatkowanych w mieście Krakowie, tudzież w powiatach krakowskim i chrzanowskim z poprzednio przyznanych 14 centów na 11 centów. Wnioski wydziału krajowego opiewają:

1. Sejm upoważnia wydział krajowy do czynienia wydatków zwyczajnych z funduszu krajowego na rachunek roku bieżącego 1899 na podstawie budżetu na rok 1898.

2. Sejm upoważnia do pobierania na rzecz funduszu krajowego dodatków do państwowych podatków bezpośrednich, a mianowicie:

a) Dodatku do państwowego podatku gruntowego, domowo-czynszowego, domowo-klasowego i do 5% podatku od domów wolnych w wysokości 60 centów, od każdego złotego wa. całej przypisanej należytości tych podatków. w mieście Krakowie, tudzież w powiatach krakowskim i chrzanowskim wszakże ma się pobierać ten dodatek do podatków w tym ustępie ad a) wymienionych w wysokości 46 centów od każdego złotego wa. całej należytości tych podatków.

b) Dodatku do państwowych bezpośrednich podatków osobistych, ustanowionych ustawą z dnia 25 października 1896 nr. 220 dz. u. p., z wyjątkiem podatku osobisto-dochodowego, w wysokości 66 centów od każdego złotego wa. całej przypisanej należytości tych podatków.

W mieście Krakowie, tudzież w powiatach krakowskim i chrzanowskim wszelako ma się pobierać ten dodatek do podatków w niniejszym ustępie ad b) wymienionych w wysokości 52 centów od każdego zł. wa. całej należytości podatków.

3. Upoważnienia powyższe pod 1) i 2) udzielone, obowiązują po dzień 30 czerwca 1899 r.

Poprzednik Dreyfusa.

Od roku pracuje nad tem cały świat żydowski i przez żydów skorumpowany, ażeby zrehabilitować jednego ze swoich, przyczem wychodzi z wygodnego założenia, iż żyd nie jest w stanie popełnić tak potwornej zbrodni, jak zdrada ojczyzny... Tymczasem historja bieżącego stulecia porusza, że osławiony ekskapitan Dreyfus ma godnego siebie poprzednika w osobie niejakiego Szymona Dentza, który dopuścił się był bodaj czy nie haniebniejszej jeszcze zbrodni. Oto sprzedał za judaszowe srebrniki kobietę, która była jego dobrodziejką, ks. de Berry. Nawet tym, którzy wykorzystali tak nikczemną jego posługę, wydała się ona jednak zbyt potworną i później stronili od szubrawcy, jak od zadżumionego. I jakkolwiek tej zbrodni Dentza nie ukarał żaden trybunał, to jednak opinja publiczna wydała nań wyrok straszny: przezwać kogoś „Dentzem" uchodziło długie czasy we Francji za najcięższą obelgę. Jak dzisiaj w obronie Dreyfusa, tak wtedy za Deutzem usiłowali ujmować się wpływowi jego współwyznawcy, jak n. p. ów „wielki Cremieux", który — co prawda — potajemnie nie skąpił wszelakich zabiegów, aby nędznika usprawiedliwić.

Ów Deutz był synem rabina paryskiego. Z początkiem bieżącego stulecia liczba żydów we Francji była stosunkowo małą, więc łatwiej było im „patrzeć na palce..." Zrazu zarabiał Deutz na chleb jako zecer drukarski, lecz praca uczciwa nie długo mu smakowała. Ażeby szybko stać się głośnym, wychrzcił się, co w owe czasy bywało rzeczą nader rzadką i obudzało powszechną sensację. Najpierwsze rody Francji otworzyły „nawróconemu" swe podwoje — stał się bez przesady bohaterem dnia. Wnet potem pojechał do Rzymu i uzyskał audjencję u papieża. Przebiegły i chytry, umiał pozyskać sobie wkrótce zaufanie ojca św. i ten obdarzył go nawet misją religijno-polityczną do Ameryki. Teraz już powrócił do Francji jako papieski mąż zaufania. Tutaj, z upadkiem Burbonów, przyczepił się do legitymistów, grupujących się około ks. de Berry. — Karolina Neapolitańska ur. w r. 1800 w Neapolu, poślubiła była w r. 1816 drugiego syna Karola X., Karola Ferdynanda d'Artois, ks. de Berry. W lutym 1820 został jej mąż, gdy wychodził z gmachu opery paryskiej, przez niejakiego Louvela zamordowany. W ośm miesięcy po tej tragedji powiła syna, Henryka de Bourbon, późniejszego hr. Chamborda. Prawowitość tegoż pochodzenia została po niejakim czasie silnie zakwestjonowaną. Mianowicie ukazała się była w Londynie broszura — jak następnie wyszło na jaw, autorem jej był ks. Orleański, późniejszy Ludwik Filip — dowodząca na podstawie kroniki skandalicznej, że Henryk de Bourbon nie był synem ks. de Berry. Ale to nie należy do rzeczy... Owóż po rewolucji r. 1830 ks. de Berry osiadła ze swemi stronnikami w Massa (we Włoszech) i tam urodził się plan zbrojnej wyprawy do Wandei, gdzie z pomocą ruchawki mógłby hr. Chambord przemycić się na tron francuski. Pewnego poranka marcowego w r. 1831 zjawił się u księżnej człowiek, polecony przez papieża, a zwący się Szymonem Deutzem. Jako wysłańca papieskiego przyjęto go naturalnie z otwartemi rękoma. Codzień jadał obiady u stołu księżnej i wtajemniczał się zwolna we wszystkie jej zamysły. Łatwowierna i nieoględna pani powierzyła mu nawet najsekretniejsze listy swoje, aby je przewiózł do jej krewnych w Madrycie.

Deutz był przez cały czas pobytu swego w otoczeniu księżnej ogromnie wojowniczo usposobiony. Ciągle prawił o szansach rewolucji ludowej w Wandei i ciągle nalegał na księżnę, ażeby tam osobiście się udała. Wreszcie ją przekonał, wszelakoż przyjęcie, jakiego tam doznała, było srogiem rozczarowaniem dla ambitnej kobiety. Chłopom wandejskim ani się śniło nadstawiać swoją skórę dla młodziutkiego pretendenta. Ponadto rząd paryski był już o całym planie księżnej jak najdokładniej poinformowany, tak, iż nie pozostało jej nic innego, jak umknąć czemprędzej do Nantes i schronić się tam u swych krewnych. Po tem fiasku wyprawy dotychczasowy jej doradca, Deutz, zniknął gdzieś jak kamfora. Po pewnym dopiero czasie zjawił się nagle w Nantes, zdołał odzyskać poprzednie zaufanie księżnej i otrzymał od niej nietylko tytuł „barona", ale — co gorsza było dla niej — rozmaite ważne dokumenty, dotyczące organizacji legitymystów. Gdy je miał już w rękach, wymknął się do Paryża, znalazł drogę do Thiersa i niebawem stanęła umowa judaszowska: za cenę pół miljona franków zobowiązał się Deutz wydać księżnę w ręce rządu... Wszelakoż i ona miała w Paryżu wpływowych przyjaciół, którzy ją zawiadomili o zdradzie, mogła przeto zmienić swoją kryjówkę. Wkrótce potem przybył Deutz z dwoma ajentami rządowymi do Nantes, wytropił księżnę w mieszkaniu panny Daubigny i zaraz następnego dnia ajenci uwięzili ją i zawieźli do twierdzy Blaye... Po pewnym czasie wypuszczono ją na wolność i odtąd już żyła w zupełnem odosobnieniu od świata. Jako 70-letnia staruszka zmarła w Steyr w Austrji.

Pomimo silnego antiburbońskiego prądu w ówczesnej Francji, zerwała się jednak na nikczemnika Deutza burza potępienia i wzgardy. Dumas młodszy opowiada w liście do literata Nauroya, w jaki to sposób wypłacono zdrajcy umówione srebrniki. Jeneralny sekretarz w ministerstwie spraw wewnętrznych, Didier, miał polecenie to uczynić. Owoż, gdy w jego biurze zjawił się Deutz, Didier ruchem ręki zatrzymał go w pewnem od siebie oddaleniu, poczem z pomocą długich obcęg podał mu w milczeniu dwie paczki banknotów po 250.000 franków, wreszcie zaś skinieniem ręki drzwi mu pokazał...

Pomimo bogatego plonu zdrady, Deutz nie czuł się bezpiecznym we Francji. Pod przybranem nazwiskiem popłynął do Ameryki, po niejakim jednak czasie powrócił do Paryża i cały „zarobek" przegrał na giełdzie. W parę lat potem był jeszcze na tyle bezczelny, że usiłował w wydanej przez siebie broszurze, pod tytułem *Arrestation de Madame*, wytłumaczyć swoją zdradę. Lecz ogół francuski nie dał się przekonać kłamliwym wykrętom.

Pomnik Mickiewicza w Warszawie.

Z listów, jakie w ostatnich dniach otrzymaliśmy z Warszawy, niepodobna uchwycić wątka prawdy, tak sprzeczne są wiadomości w sprawie odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Z początkiem tego tygodnia cała Warszawa wierzyła, że na telegram ks. Imeretyńskiego odpowiedział car przychylnie i że zezwolił na przemówienie Sienkiewicza. Niemałą też sensację zrobiło wydrukowanie mowy Sienkiewicza w dzienniku berlińskim — słowem — w sprawie tej zachodzą jakieś okoliczności, które chyba się wyjaśnią już po odsłonięciu.

W każdym razie przeczuwamy, że biedna Warszawa nową jakąś ciężką próbę przechodzi — a mamy nadzieję, że z tej przykrej sytuacji wyjdzie ona z godnością i powagą.

KRONIKA.

Przy opłatku.

Gdy pierwsza gwiazdka na widokręgu zgromadzi Was — Szan. Czytelnicy — zwyczajem prajców u wspólnej wigilijnej wieczerzy; gdy drżące ze wzruszenia serdecznego ręce matek i ojców łamać będą z dziatwą, rodziną i domownikami opłatek symboliczny; gdy łza szczerego rozrzewnienia zabłyśnie może w niejednem oku na wspomnienie drogich nieobecnych wśród Was w tej uroczystej chwili — wtedy zapomnicie niezawodnie, co zupełnie pojmujemy, o tych obcych i dalekich, lecz wiernych swych przyjaciołach, którzy, jak długi rok, spieszą co dzień pod Wasze strzechy z daniną wszystkiego najlepszego, na co umysł i serce ludzkie zdobyć się jest w stanie.

Pozwólcie przeto, iż z natręctwem oddanego Wam zrzędy — niezaproszeni, niezawołani — sami przychodzimy do Was i do życzeń, wygłaszanych przy opłatku w Waszem kole, nasze skromne tutaj przyłączymy.

Pierwsze z nich poświęcamy — rzecz prosta — Matce Ojczyźnie... Jak daleko i szeroko ścielą się łany ziem polskich nad Dniestrem i Wisłą; gdzie szumią zadumane o wielkiej swej przeszłości bory nad Wilją, Niemnem i Prypecią; gdziekolwiek dźwięczy, albo trwożnie szepce tylko pod obuchem wrażej ręki nasz język, biją serca polskie i do Przedwiecznego szlą korne modły o poprawę twardej doli — niechajże z Bożego zmiłowania jak najrychlej zaświeci tam słońce swobody i niechaj ono na popiół spali pęta, które aż do kości wżerają się w ciało świętej naszej Męczennicy...

Gdy nie ma szczęścia w Ojczyźnie, nie ma go i w domu! Tak nas poucza z rozumu i serca Wieszcz nieśmiertelny,—zaczem błagając Boga o litość nad doświadczaną ciężko Ojczyzną, tem samem błagamy Go o poprawę doli każdej rodziny, każdej jednoski, naród nasz składającej.

Wysłuchania tych błagań, rychłego spełnienia tych pragnień gorących, życzymy i Wam i nam przy dzisiejszym opłatku.

Kalendarz. Sobota (24): Adama i Ewy. — Wschód słońca o godzinie 7 minut 57, zachód o godzinie 4 minut 4.

Mianowania. Prezydjum krajowej dyrekcji skarbu zamianowało kontrolorów cłowych: Ludwika Osalę i Wacława Zacharjasiewicza, starszymi oficjałami cłowymi; oficjała cłowego Emila Kurowskiego starszym kontrolorem cłowym, oficjała cłowego Piotra Michalaskula kontrolorem cłowym: asystentów cłowych: Zygmunta Zarembę, Józefa Tuszyckiego i Kazimierza Rotha, tudzież poborców cłowych Rudolfa Hoberstorfera i Marjana Dobrowolskiego oficjałami cłowymi, wreszcie prowizorycznego asystenta cłowego Bronisława Seję i praktykantów cłowych Jana Dylskiego i Bronisława Sokola asystentami cłowymi.

Ruch przedświąteczny. Chcesz wiedzieć, jak on wygląda?!... A no to chodź, pójdziemy go szukać i to szukać na Rynku... Uważasz — ten Rynek jak się zmienił nie do poznania. To nie ten sam Rynek codzienny. poważny, urzędowy — to Rynek przedświąteczny pełen gwaru, ruchu, różnobarwności i rozmaitości. Na tej ostej stronie, to targ rybny, aranżowany przez „żydy". Co?... nie możesz patrzeć, jak te żywe stworzenia walą żywcem i przerzucają niemi bez miłosierdzia. No to pójdziemy na część Rynku więcej barwną.

Jesteśmy tu, gdzie kupczą przyborami na „boże drzewka". Masz tu, czego dusza zapragnie, a na co kieszeń przedświąteczna pozwoli. Wyzłacane i wysrebrzane orzechy, centowe skrzydlate „duszki", wykwintne papierowe „łańcuchy", a przedewszystkiem świeczki — świeczki woskowe. Widzisz tę zziębniętą, podwiązaną młodą żydóweczkę, która niesie przed sobą stosy świeczek przeróżnej jakości i ceny. Żal ci jej skostniałych rąk, koloru ugotowanego buraka, otóż wiedz, że ta sama żydóweczka za jakie dziesięć lat biedy i tarapatów, zasiądzie w ciepło opalonym własnym sklepie bławatnym, aby przeliczać do swej kieszeni gęsto płynącą brzęczącą monetę..

Zresztą, idźmy dalej na część słodką Rynku, to jest tam gdzie miód wyziera nęcąc z całego szeregu beczek, gęsto w tej okolicy rozsianych. Nad każdą beczką stoi waga „sprawiedliwa" i bartnik, obok każdej kręci się wesoły szewczyk, który czyha na chwilę nieuwagi bartnika, aby przelotem umoczyć palec w miodzie, oblizać go smacznie i zniknąć z oczu jak fata morgana.

Jest jeszcze oddział warzywno-owocowy. Co za stosy jabłek odcinających się czerwono na tle popielatej masy orzechów włoskich i laskowych. Nierzadko błękitnieje obok nich duży nasyp maku, obok którego poważnie rozsiadły się nastrojone głowy przeważnie ugotowanej kapusty, przeznaczonej na wigilijne „gołąbki", które nie gardzą towarzystwem bursztynowej psenicy, *in spe* „kuti".

Ale o najważniejszem byłbym zapomniał, aniś przypuszczał, jak nasz ludek obdarzony jest talentem architektonicznym. Spoglądnij na ten rząd lepionych mąką i karukiem „szopek" i „jasełek". Co za pomysłowość w dobraniu kształtów, kolorów, ornamentacji. Robota nieraz ciężka, niezgrabna, ale niepozbawiona fantazji. Podziwiasz tego Gorgolewskiego *en miniature* w wykrzywionych butach i rozpiętej koszuli. Z jaką on dumą spogląda na dzieła rąk swoich. Zbiera „nikle i helery" i kontent jest... Ale czekaj, jeszcześ nie nasycił wzroku widokiem pieczywa strucli, makowników, sztucznych kwiatów i t. d.

Już masz dość... no to ja także.

Sprawa prof. Marconiego przeciw architekcie p. Józefowi Kajetanowi Janowskiemu o uznanie spółki co do przedsiębiorstwa budowy muzeum przemysłowego we Lwowie, miała być dzisiaj rozstrzygniętą w sądzie cywilnym krajowym. Trybunałowi przewodniczył radca Litwinowicz, jako wotanci zasiadali pp. radcy: Garfein i Prokopowicz. Zastępcą prof. Marconiego był dr. Nussbrecher, a prof. Janowskiego dr. Deskur.

Pierwszy zabrał głos dr. Nussbrecher. Twierdził on że pierwszy projekt wypracował prof Marconi i to w czasie, kiedy p. Janowski wchodził jeszcze w skład komitetu budowy, — że na propozycję prof. Marconiego p. Janowski wystąpił z jury, poczem zawarli umowę spółki co do kierownictwa budowy muzeum, jeżeli ta będzie poruczona p. Janowskiemu, — a dalej, że obaj projekt podpisali i komitetowi przedłożyli. W dalszym ciągu twierdził dr. Nussbrecher, że komitet po orzeczeniu jurorów pierwotnie poruczył p. Janowskiemu wykonanie budowy według projektu prof Bisanza, że jednak następnie cofnął swoją uchwałę i polecił p. Janowskiemu aby wykonał budowę według projektu, który sam wypracuje. Otóż ten nowy projekt, wypracowany przez architekta p. Janowskiego, ma być, jak twierdzi prof Marconi, zupełnie identycznym z jego projektem.

Następnie zastępca p. architekta Janowskiego, dr. Deskur przyznał, że spółka z prof. Marconi została zawartą, jednak zaprzeczył, jakoby projekt przez p. Janowskiego wypracowany, na podstawie którego prowadzi się budowa, był identyczny z projektem prof. Marconiego.

W dalszym ciągu sformułował dr. Nussbrecher żądania prof Marconiego. Żąda on stwierdzenia, że kontrakt spółki między stronami został zawarty, że p. Janowski winien jest przypuścić prof. Marconiego do współkierownictwa i że powinien składać mu rachunki, oraz wydać połowę zysku.

Ostatecznie do rozstrzygnięcia sprawy nie przyszło. Trybunał odraczając rozprawę, uchwalił powołać znawców pp.: prof. Zacharyewicza i Chołoniewskiego. dla wydania orzeczenia, czy projekt, według którego budowa muzeum się prowadzi, jest identyczny z projektem profesora Marconiego.

Mróz, a buzie pięknych pań. Gdy zestawim te dwa pojęcia obok siebie, to jakkolwiek temperaturą znacznie od siebie odbiegają, (wiadomo, jak buzie pań są czasem gorące, a jak zimnym jest mróz), wypłynie stąd bardzo poważna a ciekawa myśl, którą tu należycie i jasno wyeksplikowawszy, pięknym czytelniczkom do wiadomości podajemy. Oto między mrozem a buziami zachodzi ten stosunek, iż pierwszy zupełnie bezinteresownie na buziach pań podczas przechadzki maluje cudowne kolory — naturalnie pod warunkiem, jeśli nie są... umorusane pudrem, choćby księżycym. Stąd myśl jasna, jak na dłoni wypływa, iż wszystkie panie nasze stanowczo w zimie pudrować się nie powinny, zwłaszcza, jeśli często ukazują się na wolnem powietrzu

Rzecz inna w salonie. Tam płeć piękna wyjątek uczynić może, a nawet powinna. Ale na mrozie, broń Boże... Mróz ten jest wprost nieocenionym dla panien, które chorują na „bladnicę". Trzeba widzieć taką pannę na przykład na ślizgawce, nieraz aż rozkosz patrzeć, takie to świeże, różowe, za oczy chwytające...

Mam 17-letnią kuzynkę, która do niedawna miała pasję „wystawać" przed lustrem i manipulować puszkiem koło buzi. Przed tygodniem szepnąłem jej na uszko, żeby dała temu pokój, a zobaczy że dobrze na tem wyjdzie. Zaperzyła się z początku, ale... posłuchała. Zobaczcie, jak teraz wygląda, gdy jak sarenka mknie przez „Corso"...

Znam także jedną śpiewaczkę. Śpiewa jak słowik w maju, a tryllami toby człeka do piekła zaprowadziła ale za to... szczupluchna (mówię grzecznie) smukła jak topolka, a blada zawsze jak opłatek świąteczny (zużywa codziennie moc pudru). Zresztą bardzo przyjemne stworzenie; nazywam ją zawsze „interesująco bladą" hrabiną. Zaaplikowałem jej także powyższą radę. Myślicie, że posłuchała? Ale gdzie tam.

A żebyście ją tak czasem zobaczyli, gdy używa w mroźny i świeży dzień przedświąteczny przechadzki po „spacerującej arterji" Karola Ludwika i Akademickiej. Moja „interesująca blada" (w salonie) hrabina wygląda wtedy — „przerażająco bladą", gdy tak idzie zapatrzona przed siebie, wyraziście „wytynkowana".

O piękne panie... przykład ten odstraszający przed swe oczy piękne przywodząc, z uwagą nasze słowa odczytajcie, a ziarno mądre z nich wyciągnąwszy, posiejecie w serduszkach waszych.

Tyle jest słów...

Towarzystwo ludoznawcze. Uczony polski z Kijowa, p. Bołtunowski nadesłał dla Towarzystwa ludoznawczego 135 plomb drohiczyńskich z napisami nawet runicznymi. Zarząd Towarzystwa ludoznawczego zamianował ofiarodawcę członkiem-korespondentem.

Zarazem wyraził zarząd podziękowanie p. Rawicie-Gawrońskiemu za ofiarowane towarzystwu zbiory etnograficzne. Obecnie wyszedł także zeszyt 4 *Pieśni kościelnych* (Kolendy), wydawanych przez towarzystwo, z pomocą najznakomitszych sił artystycznych.

Bezpłatna porada adwokacka. Komisja wybrana z grona wydziału lwowskiej izby adwokackiej powzięła onegdaj uchwałę, aby w izbie adwokackiej ustanowić godziny. w których udzielanoby stronom bezpłatnej porady adwokackiej.

Pożyteczny ten projekt, potrzebujący jednak jeszcze ze względów formalnych, potwierdzenia całego wydziału izby, spotka się bezwątpienia z uznaniem publiczności.

„Jak Parys"... Jednemu z teatralnych recenzentów lwowskich przy ocenianiu amatorskiego przedstawienia na cel dobroczynny wymknął się zwrot, który zapisujemy jako wzór galanterji krytycznej. Brzmi on: „Jak Parys wobec trzech gracyj, staje recenzent wobec pań Bobrownickiej, Skałkowskiej, Matuszewicowej i Chamcównej, nie wiedząc komu oddać palmę pierwszeństwa." Ładnie, prawda?

Katastrofa kolejowa. Dzienniki warszawskie donoszą o nowej katastrofie kolejowej, której ofiarą padło niestety kilku ludzi. Na pociąg pocztowy, dążący z Moskwy do Warszawy na stacji Jarcewo, kolei moskiewsko-brzeskiej, trzeciej przed Smoleńskiem, a odległej od Brześcia o 691 wiorst — najechał pociąg towarowy. Skutki starcia były fatalne. Trzy wagony klasy III, zajęte przez rekrutów, przeznaczonych do służby wojskowej w Królestwie, rozbiły się w drzazgi. Są więc zabici i ranni. Ilu — dotąd niewiadomo. Oprócz wagonów zdruzgotanych, inne podobno uległy znacznemu uszkodzeniu.

Komitat wiecu organistów, mającego się odbyć w Rzeszowie d. 29. bm. o godz. 10 przed południem, wzywa wszystkich organistów, by we własnym interesie jak najliczniej się zgromadzili.

Pożar. Dnia 14 bm. spłonęło w Łużku dolnym (pow. drohobycki), 51 gospodarstw. Szkoda 33.473 zł., ubezpieczona na 19.324 zł.

Morderstwo. Ze Śniatyna donoszą: W drugiej połowie bm. znikła w Borszczowie sługa u Iwana Terleckiego. Żandarmerja zarządziła poszukiwania, które wykazały, że Jelena została przez swego chlebodawcę i stryja utopioną w Prucie. Zbrodniarza aresztowano i odstawiono sądowi.

Do cytadeli! Po Warszawie krąży następująca doskonała anegdotka *ex re* rządów rosyjskich w Królestwie Polskiem.

Przez Warszawę prowadzą żandarmi więźnia politycznego. W tem w drodze spotyka ich Hurko.

— Kto to? — pyta satrapa.

— Więzień polityczny! — brzmi odpowiedź oficera, prowadzącego konwój.

— Jakto? Wolne ręce? Skuć go natychmiast!

Jenerał-gubernator kazał, więźnia skuto natychmiast.

— Do cytadeli z nim! — rozległ się jeszcze głos Hurki i skuty więzień pomaszerował dalej.

Idzie, znajduje się już w połowie drogi, gdy w tem ukazuje się następca Hurki, Szuwałow.

— Kto to?

— Więzień polityczny!

— Skuty? Kto widział! Rozkuć go natychmiast!

Rozkazu usłuchano bezzwłocznie.

— Do cytadeli! — zawołał jeszcze Szuwałow i zniknął.

Więzień rozkuty idzie dalej, widać już wały cytadeli, gdy nagle nadjeżdża w powozie następca Szuwałowa, książę Imieretyński.

— Kto to!

— Więzień polityczny!

— Jakto? Piechotą? Cóż to znowu! Więźniów politycznych nie prowadzi się piechotą. Proszę, niech pan będzie łaskaw siadać...

Więzień odetchnął jeszcze lżej i siadł do powozu. Obok niego siadło trzech żandarmów, na stopniach stanęło dwóch, szósty usiadł na koźle.

— Do cytadeli! — zakomenderował książę — i powóz ruszył.

Sens moralny: czy w kajdanach, czy bez nich, czy piechotą. czy w powozie, zawsze do cytadeli!...

Z Warszawy. Oberpolicmajster miasta Warszawy ogłosił postanowienia co do porządku, jaki ma być zachowany przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza. Obecnymi przy odsłonięciu mogą być tylko osoby, posiadające bilety, przedtem rozdane przez komitet budowy pomnika. Przy odsłonięciu pomnika publiczność może stać na trotuarach i na środku ulicy, w miejscach wyznaczonych, nie zajmując jednak trotuaru okalającego skwer; po odsłonięciu zaś pomnika i dni następnych publiczność będzie mogła chodzić Krakowskiem Przedmieściem, oraz ulicami przyległemi tylko po trotuarach, nie zatrzymując się i nie schodząc na ulicę.

Jak donosi warszawskie *Słowo*, przybędą w tych dniach do Warszawy Władysław Mickiewicz z żoną i dziećmi, oraz pani Marja Gorecka z synem dr. Adamem Goreckim z Paryża.

Kraj donosi, że komitet Związku pisarzy rosyjskich postanowił zaprosić Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowę na uroczysty wieczór, poświęcony pamięci Mickiewicza, który się odbędzie dnia 29. b. m. i na obiad, który się odbędzie dnia 1. stycznia 1899 roku.

Pożar zamku. Na wyspie Malaga spalił się doszczętnie zamek Churriana, położony nad morzem, otoczony ogromnym parkiem. Zamek ten należał, według informacji włoskich dzienników, „do polskiego magnata, który przed kilku laty nabył go od spadkobierców bogatego Anglika, p. Arthura Brothera". Szkody, jakie wyrządził ów pożar, obliczają na dwanaście miljonów franków, gdyż oprócz zniszczenia ogromnego gmachu, z którego pozostały tylko mury, spłonęła także galerja obrazów starej szkoły i nowożytnych. Zdaje się, iż mowa jest o rezydencji, będącej własnością hrabiego Benedykta Tyszkiewicza, który miał posiadłość na Maladze.

Najstarszy dziennikarz rumuński, były redaktor pisma *Reforma* Ch. Valentineanu, który w swojej ojczyźnie odegrał ważną rolę, zastrzelił się w Bukareszcie. Valentineanu brał udział w rewolucji 1848 i w kilku wojnach.

Tajemnicze podwoje. Jedno z pism technicznych wyjaśnia tajemnicę drzwi, otwierających się automatycznie przed kapłanami starożytności w chwili, gdy wchodzili do świątyń. Kapłan stawał przed podwojami świątyni i zaczynał modlitwę, bóstwo zaś dawało mu dowód łaski, podwoje otwierały się same i kapłan wchodził do świątyni wobec zdjętego podziwem ludu. Otóż owe drzwi, otwierające się i zamykające automatycznie, były pomysłem Herona. Gdy kapłan wchodził do przedsionka świątyni, zapalano na ołtarzu ogień, który ogrzewał powietrze. Ogrzane, a więc rozrzedzone powietrze przez rurę glinianą wchodziło do zakopanego w ziemi naczynia, napełnionego wodą, wypierało wodę i wypychało ją do drugiego naczynia. To ostatnie stawało się przez to cięższem, opadało na dół i pociągało za sobą łańcuch, połączony z zasuwką drzwi tajemniczych. W ten sposób po zapaleniu ognia na ołtarzu drzwi otwierały się, gdy zaś kapłan wychodził ze świątyni, ogień na ołtarzu gaszono i podwoje zamykały się same.

Rozbestwione syny Izraela. Zarobnik Michał Kocan przyszedł wczoraj do szynku przy ulicy Krakowskiej pod l. 36, aby za ostatnie kilka centów wypić szklankę piwa. Tu zastał grono poważnych żydów, raczących się całymi haustami z często zmienianych bomb piwa. Kocana, który miał tylko na mizerną szklankę piwa, na widok ten zebrała żałość sroga, zapłacił tedy należytość i rzekłszy: „Oj te żydy... zarobiły pieniądze na biednych katolikach i tu chleją piwsko"... zamierzał opuścić szynkownię. Za swoją jednak szczerość gorzko odpokutował. Oto snać obrażeni tą uwagą żydzi, tłumnie rzucili się i zaczęli go okładać razami. Zrozpaczony Kocan dobył dla obrony dwucentowego kozika. Na to żydzi zaczęli wrzeszczeć na wszystkie strony: „Rozbójnik, on z nożem do nas!"... Zbiegła się chmara żydowstwa. Biednemu Kocanowi część z nich trzymała ręce, a inni okładali go bez miłosierdzia. Jacyś przechodzący rębacze starali się wydobyć go z rąk tłuszczy żydowskiej. Wśród szamotania się i nawoływań, znalazł się wreszcie policjant, który nie zorjentowawszy się (jak zawsze) w sytuacji, zabrał owych „idących na pomoc" na inspekcję policyjną.

Ogromną ławą ruszyli za nimi żydzi, wlokąc ze sobą nieszczęśliwego Kocana i nie szczędząc mu kułaków i razów, pod którmi tenże kilkakrotnie w drodze upadał. Ulica Kołłątaja, przy której się znajduje inspekcja, zapełniła się cała setkami żydów, odgrażających się Kocanowi i jego socjuszom, że ich zabiją. Ledwie żołnierzom policyjnym udało się owe tłumy rozpędzić. Na inspekcji spisano protokół, z którego się okazało, iż hersztem tej całej prowokacji jest niejaki Abraham Himmel, który wciąż krzyczał w niebogłosy: „Rozbójnik... żydów morduje"... i zachęcał do lynchowania biednego zarobnika. Wypadek ten znowu świadczy, jak wielką jest solidarność żydowska i jak ostrożnie należy z nimi postępować biednej chrześcijańskiej ludności...

Defraudant. Onegdaj wysłano z *Gazety lwowskiej* służącego redakcyjnego Piotra Dmuchowskiego na pocztę z kwotą 60 zł. dla nadania tejże na przekaz. Tymczasem Dmuchowski z tą kwotą jak gdzieś „dmuchnął" tak do tej pory nie powrócił jeszcze.

Dzisiejszy numer gwiazdkowy obejmuje 8 stron.

* **„Bałabanówka"** — stara jak firma, która ją sprzedaje, święcić będzie znowu przez dni świąteczne swoje tryumfy, będąc znakomitym napitkiem przed rybą, a także i po rybie — ad libitum. Ale nie tylko ten towar p. Karola Bałłabana, jedna mu zasłużoną sławę w zakresie handlu towarami korzennymi; i inne świąteczne i nie świąteczne specjały mają już ustaloną reputację, czego dowodem najlepszym i tyle lat istnienia firmy i ruch, jaki w sklepie p. Bałłabana od rana do nocy panuje.

* **Haima-Eokha** nie jest ani operetką, jak „Gejsza" ani żadnem zaklęciem czarodziejskiem, lecz jestto tytuł najnowszej gry towarzyskiej japońskiej, którą pod polskiem nazwaniem „Świat do mądrego należy" — wydała swoim nakładem zaszczytnie znana firma Kauczyński i Oberski we Lwowie. Kto się więc chce dowiedzieć, „czy świat do niego należy" — niech spróbuje nabyć u tej firmy ową grę towarzyską.

* **Tow. „Bratniej pomocy"** słuchaczów politechniki, tak jak w latach ubiegłych, tak i w tym roku urządza ślizgawkę na stawach pani Maryon na Wulce. Otwarcie w pierwsze święto Bożego Narodzenia.

Zmarli:

Antoni Chmielewski, emer. urzędnik sądowy, zmarł w Krakowie w 66 r. życia.

Nuna, córeczka Seweryna i Stanisławy ze Słeneckich Zwolskich, zmarła we Lwowie w 6 r. życia.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w sobotę z powodu wigilji Bożego Narodzenia teatr zamknięty; jutro w niedzielę popołudniu o godzinie pół do 4 „Szalawiła", komedja w 5 aktach Kazimierza Glińskiego; wieczorem o godzinie pół do 8 „Gejsza", operetka; w poniedziałek popołudniu o godzinie pół do 4 „Czarodziej z nad Nilu", operetka; wieczorem o godzinie pół do 8 „Zaza"; we wtorek popołudniu o godzinie pół do 4 „Chory z urojenia", komedja i „Lekka kawalerja", operetka; wieczorem o godzinie pół do 8 „Gejsza", operetka; w środę „Zaza"; we czwartek „Zaklęty zamek", operetka; w piątek „Zaza"; w sobotę popołudniu o godzinie pół do 4 „Skąpiec", komedja; wieczorem o godzinie pół do 8 „Rok 1898", przegląd sceniczny w 12 odsłonach.]

Sprawozdanie z koncertu pożegnalnego skrzypka F. Kreislera, który się odbył wczoraj wieczorem, odkładamy dla braku miejsca do jutrzejszego numeru. Na razie notujemy, że koncert ten udał się pod każdym względem wybornie, jak zresztą wszystkie poprzednie tego wielce utalentowanego artysty.

Rada miasta Lwowa.

(Hołd Mickiewiczowi — i Warszawie. — Sprawa gazowa. — Komisja elektryczna. — Imitacja „Przejścia Wenery").

Lwów 23 grudnia.

W zmienionym niż zwyczajnie porządku zagaił p. prezydent Małachowski posiedzenie wczorajsze rady miejskiej; najprzód bowiem debatowano nad sprawami, objętemi porządkiem dziennym jako tajne.

Po ich załatwieniu częściowem otwarto galerje i p. prezydent, zanim przystąpił do porządku dziennego, odczytał odezwę komitetu w Lozannie, zawiadamiającą magistrat miasta Lwowa o odsłonięciu tamże dnia 24 grudnia tablicy pamiątkowej Adama Mickiewicza. Komitet licząc na gorący współudział rodaków, zaprasza tą drogą i magistrat m Lwowa do wzięcia udziału w uroczystości. Odpowiedź, dana komitetowi, zajmującemu się tym nowym aktem hołdu dla wielkiego wieszcza, przez reprezentację miasta Lwowa, odczytana przez p. prezydenta, brzmi dosłownie:

„Komitet uroczystości Mickiewiczowskiej w Lozannie. Imieniem rady król. stoł. m. Lwowa, i wskutek jej uchwały z 22 grudnia 1898 przesyłam serdeczne podziękowanie za pamięć i zaproszenie na podniosłą uroczystość. Rada łączy się sercem i duchem z rodakami w wolnej dziedzinie Szwajcarów, stojącymi ze czcią wobec pomnika nieśmiertelnego Wieszcza polskiego. Niechaj ta pamiątka będzie wyrazem czci, uwielbienia i dumy, jaka przepełnia nas wszystkich, dla wielkiego genjuszu tego stulecia. Komitetowi urządzającemu uroczystość, cześć i pozdrowienie. (Podpis): Prezydent miasta dr. Małachowski."

Równocześnie zawiadamia p. prezydent radę, że w tym samym dniu (jutrzejszym) odbędzie się także w Warszawie uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Pan prezydent wnosi, by reprezentacja miejska uchwaliła rezolucję tej treści:

„Reprezentacja król. stoł. miasta Lwowa, łączy się duchem i sercem w całej pełni z uroczystością odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie".

Rada miejska, przejęta uroczystym tonem rezolucji, jedynej manifestacji, na jaką się w tym wypadku zdobyć może, w milczeniu, stojąc wysłuchała słów prezydenta i gromkim oklaskiem zsolidaryzowała się z ludnością biednej Warszawy.

Z właściwego porządku dziennego nastąpiła sprawa na pozór jasna, bo gazu i gazowni dotycząca, w istocie zaś dość ciemna, skoro dla wyjaśnienia jej powołano na posiedzenie dyrektora zakładu gazowego p. Teodorowicza. Szło mianowicie o różne kwestie, poruszono przez dr. Piseka, któremu się dziwnem wydało, że zaraz na początek zamyśla miasto wydać pieniądze na palniki auerowskie, zamiast oświetlać dotychczasowymi palnikami te ulice, które się „cienzą" dotąd oświetleniem naftowem. Referent p. Pawlewski wyjaśnia, że ani w tym ani w przyszłym roku, ze względu na fundusze, nie można przystąpić do prowadzenia rur w ulicach, gdzie ich jeszcze nie ma, a dalej ze względu, że istnieje kontrakt z przedsiębiorcą oświetlenia naftowego.

Co się zaś tyczy ustalenia cen gazu, to zdaniem komisji cena 14 ct. za metr kubiczny dla celów oświetlenia, zaś 9 ct za metr dla celów przemysłowych nie będzie gminy na stratę, a publiczności na wyzysk narażać. (Miasto płacić będzie za gaz $11^{7}/_{10}$ ct.).

Wnioski komisji przyjęto, mianowicie by kosztem 8.000 zł. zaprowadzić we wszystkich latarniach palniki Auera, znieść ferje księżycowe (nawiasem mówiąc pomysł bardzo szczęśliwy, nie tyle ze względu na księżyc, ile na całość kości biednych, po nocy wracających obywateli) i ustalić od 1 stycznia ceny gazu, powyżej przez komisję proponowane.

Z kolei nastąpiło sprawozdanie komisji elektrycznej. W czasie długiego wywodu referenta odnosiło się wrażenie, jakby się było na znanej sztucce „Przejście Wenery"; referent bowiem przemawiał przed co raz pustszemi ławami i byłby może doznał losu niefortunnego profesora z wzmiankowanej komedji, to znaczy, mówił do pustych miejsc, gdyby nie przeszkodził temu p. prezydent, konstatując brak kompletu o 3 kwadranse na 9. Mała więc tylko liczba radnych wysłuchała końca tego przemówienia, wyrażenia uznania kierownictwa kolei elektrycznej, tudzież życzenia wesołych świąt z ust p. prezydenta.

Z izby sądowej.

Kraków 22 grudnia.

(Złodziej).

Po przeprowadzonej rozprawie, został Jan Lorek skazany na 2 lata ciężkiego więzienia, z postem co 14 dni. Jak wczoraj donieśliśmy, Lorek okradał przeważnie mieszkania stróżów. Zasądzony zgłosił odwołanie od wymiaru kary.

Kraków 23 grudnia.

(Kradzież).

Dzisiaj o godzinie $11^{1}/_{2}$ w południe rozpoczęła się rozprawa przed zwykłym trybunałem pod przewodnictwem radcy Pietscha, przeciw dwom braciom, żydom, 16-letniemu Motelowi Luftigowi i 14-letniemu Majlochowi Luftigowi, o zbrodnię kradzieży. Oskarżeni zatrudnieni byli w handlu bielizny damskiej Emanuela Wicklera i tam też popełniali liczne kradzieże, wynosząc co dzień całe stosy bielizny i przyborów damskich. Cała paka odebranych im przedmiotów znajduje się jako „corpus delicti" w sali sądowej, a ocenioną jest na 156 zł Ile obwinieni skradli trudno dzisiaj sprawdzić. Skradzione rzeczy pozbywali częściowo Majerowi i Gitli Rosenbergom, którzy również zasiadają na ławie oskarżonych, jako współobwinieni. W mieszkaniu Luftigów znaleziono istny skład skradzionych towarów. Rozprawa zakończy się dziś wieczorem.

Wiedeń 21 grudnia.

(Żydowska jaskinia).

Wczoraj odbyła się tutaj rozprawa przeciwko „dyrektorowi" kawiarni „Paradies" Adolfowi Pfefferowi jego markierom i pannom bufetowem, oraz jego matce, oskarżonym o ułatwianie schadzek, oszustwo i fałszowanie artykułów spożywczych. Rozprawa była tajną, gdyż do rozpatrzenia sądu przychodziły sprawy, nie nadające się w przeważnej części do publicznego traktowania. Działy się tam oszustwa na wielką skalę, zwłaszcza gdy gość sobie podpił, a sceny niemoralności urągają wprost wszelkiemu opisowi. Świadków przesłuchano około 40, z nich 30 kobiet bardzo podejrzanej konduity. Wyrok zapadnie w sobotę.

Gospodarstwo przemysł i handel.

— **Wiedeń** 23 grudnia. *(Giełda zbożowa.)* Na targu efektywnym zupełna cisza świąteczna; nie dokonano ani jednej transakcji. W spekulacji terminowej notowano: pszenica na wiosnę zł., 9·64.

— **Wiedeń** 23 grudnia. *(Spirytus.)* Spirytus od 18·10 zł. do 18·30 zł. tylko nominalnie.

Depesze telegraficzne i telefoniczne „Dziennika Polskiego".

Sprawa językowa na Szląsku.

Wiedeń 23 grudnia. Reskrypt ministra sprawiedliwości Rubera, zalecający sądom szląskim przestrzeganie ustaw o przepisach językowych, jak niemniej reskrypt hr. Thuna do władz politycznych, wydane zostały wskutek wspólnych zabiegów koła polskiego i klubu młodoczeskiego.

Wskutek przeprowadzenia tych zarządzeń, koniecznem się okaże pomnożenie liczby urzędników, władających językiem polskim. Rzeczą stron, oraz adwokatów polskich na Szląsku będzie obstawać przy każdym wypadku, aby według przepisów ustawy język polski i czeski znalazły należne im uwzględnienie.

Praga 22 grudnia. *Narodni Listy* donoszą, że rząd wydał dla władz w Czechach rozporządzenie dolecające, aby rozporządzenia językowe były jak najściślej przestrzegane.

Sytuacja na Węgrzech.

Budapeszt 23 grudnia. W dalszym ciągu posiedzenia, dep. Molnar w długiej mowie wylicza rozmaite nadużycia wyborcze, popełnione za rządów Banffyego, i imieniem katolickiej partji ludowej przyłącza się do wniosku Koszuła. Co się tyczy ugody, stronnictwo mowcy (katolicka partja ludowa) stoi na gruncie ustaw z r. 1867 i 1868. Katolicka partja ludowa nie zaniecha walki, dopóki obecny szef rządu nie ustąpi miejsca innemu, choćby z tej samej co on wybranemu partji. *(Etjen* na lewicy).

Następnie przewodniczący Madarasz przerywa rozprawę i odracza ją do jutra.

Odczytano potem interpelacje, między innemi także zapowiedzianą przez dep. Pichlera w sprawie Rumunów. Interpelant zapytuje prezydenta ministrów, czy mu wiadomo, że węgierscy Rumuni w Vilagos chcieli wysłać adres do cesarza, gdy im zaś zabroniono odbyć zgromadzenie, zwrócili się do burmistrza wiedeńskiego Luegera z prośbą o interwencję i o wręczenie ich adresu cesarzowi. Interpelacja pyta następnie, jak prezydent ministrów zamierza postąpić wobec Rumunów i Luegera. W ciągu wywodów swoich Pichler nazwał Luegera nikczemnym i niegodnym człowiekiem.

Przewodniczący Madarasz przerywa mowcy i prosi go, żeby w interesie powagi parlamentu węgierskiego, takich wyrażeń nie używał.

Pichler odpowiada, że w podobny sposób Lueger wyraża się bezkarnie w parlamencie austrjackim. W końcu mowca atakuje ostro Banffyego i zarzuca mu brak energji wobec intryg Luegera.

Na tem posiedzenie zamknięto. Dalszy ciąg obrad dziś.

Budapeszt 23 grudnia. W stronnictwie liberalnem panuje wielka radość z tego powodu, że do klubu wstąpił hr. Csaky, syn hr. Albina Csaky, przywódcy opozycjonistów.

Budapeszt 23 grudnia. Krąży tu pogłoska, która znalazła nawet odgłos w dziennikach opozycyjnych, jakoby dnia 1 stycznia ukazać się miał reskrypt królewski, wzywający ludność do płacenia podatków i dania rekruta. *Budap. Correspondenz* zaprzecza tej pogłosce. Mało kto jednak wierzy temu zaprzeczeniu, ponieważ niejednokrotnie już *Bud. Corr.* zaprzeczała rozmaitym wieściom, które w rezultacie atoli okazały się prawdziwe. Powszechnie sądzą, że jeżeli nie przejdzie pośredniczący wniosek p. Ratkaya o przedłużenie prowizorjum na jeden miesiąc, to po pierwszym stycznia będą musiały być wydane rozporządzenia królewskie.

Budapeszt 23 grudnia. W imiennem głosowaniu przyjęto 153 głosami przeciw 48 propozycję prezydenta, aby w sobotę, niedzielę i poniedziałek nie było posiedzeń sejmu, — natomiast wniosek opozycji, aby sejm świętował także przez piątek i wtorek, został odrzucony. Potem przystąpiono do dalszego ciągu rozprawy nad terminem wyboru prezydenta.

Wiedeń 23 grudnia. Jak tutejsze dzienniki donoszą, toczą się w Budapeszcie rokowania między opozycją i partją liberalną, aby umożliwić przynajmniej uchwalenie prowizorjum budżetowego na jeden miesiąc.

Budapeszt 23 grudnia. Ze stronnictwa liberalnego wystąpili dalej hr. Ferdynand, Jan i Aladar Zichy.

Budapeszt 23 grudnia. Na zgromadzeniu liberalnych wyborców stolicy przemawiał wczoraj Stefan Tisza, przyjmowany gorącymi oklaskami. Między innemi podniósł on rezultaty dodatnie, osiągnięte przez gabinet br. Banffy'ego, wskazał, że ugoda z Austrją jest zdobyczą przeciw której z żadnej strony nie podniesiono poważnych zarzutów, potępił jak najostrzej postępowanie opozycji i zakończył wyrażeniem zdania, że br. Banffy i stronnictwo liberalne nie powinni ustępować. Obstrukcja musi być pokonaną, a na jej ruinach odbudowaną na nowo powaga parlamentu węgierskiego.

Budapeszt 23 grudnia. *Magyar Orszag* wyraża zdanie, że upadek br. Banffy'ego nastąpi wkrótce.

Magyar Ujsag występuje energicznie przeciw opozycji, potępiając jej działalność i wskazując na pewne podróże (mowa tu mianowicie o rzekomej podróży p. Polonyi'ego do Wiednia i jego naradach z antisemitami).

Wiedeń 23 grudnia. Br. Banffy przybędzie jutro rano do Wiednia, aby asystować przy zaprzysiężeniu nowego ministra *a latere*, Szechenyi'ego. Przy tej sposobności ma przedłożyć br. Banffy monarsze wnioski rządu węgierskiego co do sprawy kwotowej. Z tego powodu krążą pogłoski, że postanowieniem cesarskiem ma być utrzymany co do kwoty *status quo*, ale na pół roku.

Budapeszt 23 grudnia. Na dzisiejszem posiedzeniu p. Ivanka zażądał obliczenia posłów lecz Madarasz się temu sprzeciwił. P. Polonyi wniósł naglą interpelację z powodu ukarania przez władze uczestników znanych demonstracyj przed parlamentem. P. Ivanka ponowił swe żądanie, a prez. Madarasz tym razem się zgodził, po obliczeniu pokazało się, że jest dostateczny komplet. Przystąpiono więc do dalszego ciągu dyskusji nad wyborem prezydjum, głos zabrał p. Horanszky.

Sprawa Dreyfusa.

Paryż 23 grudnia. Przy końcu wczorajszej rady ministerjalnej minister sprawiedliwości Lebret zawiadomił prezesa gabinetu Dupuya i ministra wojny Freycineta, o naradach swych z prezydentem trybunału kasacyjnego Loevem w sprawie gwarancyj, pod jakiemi ma być wydane tajne *dossier* Dreyfusa. Jak zapewniają, osiągnięto już w tej sprawie zupełne porozumienie i tajne akty mają być w najbliższym czasie wydane trybunałowi. Prezydent sądu kasac. zapytywał pisemnie ministra sprawiedliwości, czy prezes gabinetu Dupuy nie miałby nic przeciw przesłuchaniu go przed tymże trybunałem. Dupuy oświadczył, że jest gotów złożyć przed sądem zeznania i wczoraj już udał się do prezydenta republiki Faura, aby podpisał dekret, upoważniający go do zeznań. Przesłuchanie prezydenta ministrów odbędzie się, stosownie do zwyczaju, w gmachu ministerstwa.

Paryż 23 grudnia. *Temps* donosi, że minister wojny Freycinet oświadczył prezydentowi trybunału kasacyjnego p. Loewy, iż tajne akta sprawy Dreyfusa wówczas tylko może wydać trybunałowi, jeżeli adwokat Mornard przyjmie na siebie odpowiedzialność za dyskrecję pani Dreyfus, której, jako zastępczyni interesów jej męża, akta muszą być przedłożone.

Adwokat Mornard złożył w sposób jak najściślej formalny żądane oświadczenie.

Paryż 23 grudnia. W *Petite Republique*, Jaurès, znany przywódca socjalistyczny, ogłasza artykuł, w którym powiada, że w tece tajnych aktów dreyfusowskich znajduje się list cesarza Wilhelma, jednak Jaurès ofiarowuje dowód, iż list ten jest falsyfikatem.

Między innemi Jaurès wzywa niejakiego Monoda, aby wyświetlił rzecz i powiedział całą prawdę. Monod miał napisać list onegdaj do Jaurèsa, a w tym liście miał się znajdować taki ustęp:

„Były minister spraw zewnętrznych Hanotaux w maju br. powiedział do mnie i do pana X: „Panowie wiecie jak nikczemnych środków używał jenerał Mercier, aby udowodnić winę Dreyfusa, która może nie jest niczem innem jak strasznym romansem".

Otóż Jaurès twierdzi, że ów X. jest wysokim dygnitarzem i że go Monod zna. Zarazem Jaurès domaga się przesłuchania Hanotaux.

Zamach w Opawie.

Opawa 23 grudnia. Wielką sensację wywołał tutaj niewyjaśniony dotąd zamach na pociąg kolejowy. Kiedy pociąg, którym nowy prezydent kraju hr. Thun-Hohenstein wracał z Wrocławia, gdzie złożył wizytę ks. kardynałowi Koppowi, wjeżdżał w pobliże dworca państwowego w Opawie, zauważył zwrotniczy, że szyny założone są kilkoma progami dębowymi i starem żelaziwem tak wysoko, iż pociąg musiałby się był wykoleić. Zwrotniczy zdołał w czas usunąć przeszkodę, tak, że do wypadku nie przyszło.

Podczas, gdy zwrotniczy usuwał te przeszkody, ktoś uderzył go kamieniem w głowę. Policja rozwinęła energiczne śledztwo, ale nie wykryła zbrodniarza. Aresztowano wprawdzie dozorcę kolejowego Nawratila, wątpliwem jest jednak, czy istotnie znaleziono w nim winnego.

Rugi pruskie.

Berlin 23 grudnia. W gronie wybitnych tutejszych przemysłowców i kupców powstał projekt zwołania konferencji, aby zwrócić uwagę rządu na straty, jakie ponosi niemiecki handel i przemysł skutkiem polityki wydalań. Podróżujący ajenci rozmaitych wielkich firm w sprawozdaniach swych donoszą o powszechnie kiepskich interesach, co przypisują głównie rugom pruskim, gdyż nikt nie chce nic u kupców niemieckich zamawiać. Gazety duńskie wszystkie zamieszczają na czele odezwę, wzywającą Duńczyków, aby niczego nie kupowali od Niemców.

Praga 23 grudnia. Poseł sejmowy Partak, który zachęcał na jednem ze zgromadzeń kontrolnych rezerwistów, ażeby zapytani, czy są obecni, odpowiadali „zde" zamiast „hier", skazany został na podstawie §. 314 (mięszanie się nieprawne w czynności urzędowe) na grzywnę 5 złr.

Berlin 23 grudnia. Cesarz Wilhelm przyjął wczoraj na posłuchaniu ambasadora rosyjskiego hr. Osten-Sackena, który mu oddał własnoręczny list cara.

Madryt 23 grudnia. Sagasta powołał do siebie jenerała Weylera. — Dzienniki tutejsze zaprzeczają, jakoby Don Carlosowi udało się uzyskać pożyczkę w Anglji. — Na prowincji aresztowano licznych karlistów. — Prezydent senatu Monte-Rios zawiadomił Sagastę, że na konferencji pokojowej w Paryżu reprezentanci powstańców filipińskich oznajmili, iż powstańcy wnoszą protest przeciw aneksji Filipinów na rzecz Stanów Zjednoczonych.

Paryż 23 grudnia. *Agencja Havasa* donosi z Kanei: Muzułmański burmistrz miasta i jego chrześcjański pomocnik przechadzali się wczoraj po mieście wziąwszy się pod ramię. Ludność chrześcjańska i muzułmańska witała ich gorąco, bratając się ze sobą.

Rzym 23 grudnia. Dzienniki donoszą, że delegaci, którzy brali udział w konferencji przeciw anarchistom, zobowiązali się słowem honoru, nie wyjawiać żadnych szczegółów o powziętych przez konferencję postanowieniach.

Po zakończeniu obrad konferencji, wszystkie protokoły i dokumenta miano spalić.

Kanea 23 grudnia. Książę Jerzy przyjął biskupa, rabina i przedstawiciela tureckiej gminy wyznaniowej, poczem odwiedził świątynię muzułmańską.

Wiedeń 23 grudnia. Tuż przed wyjazdem do Wallsee, lub po powrocie, obejrzy cesarz ofiarowany mu przez Szczepanika gobelin, wykonany według rysunku artysty malarza Rauchingera. W tym celu gobelin umieszczony został w jednej ze sal austrjackiego muzeum dla sztuki i przemysłu. Obok gobelinu wystawiony jest oryginalny rysunek Rauchingera i przyrządy, którymi wykonano gobelin. Br. Gautsch, jako kurator tego muzeum, przedstawi cesarzowi Szczepanika.

Wiedeń 23 grudnia. Na dzisiejszych ogólnych audjencjach przyjęci zostali przez cesarza między innymi byli ministrowie Biliński i Rittner.

Wiedeń 23 grudnia. Małżonka prezydenta ministrów hr. Thuna, która przed kilku tygodniami zachorowała, ma się gorzej. Cierpi ona na chorobę nerek.

Wiedeń 23 grudnia. Zwyczajne walne zgromadzenie Banku austro-węgierskiego odbędzie się 3 lutego.

Wiedeń 22 grudnia. Wczoraj odbyła się trzecia narada wojskowa pod przewodnictwem cesarza.

Wiedeń 23 grudnia. *Neue Fr. Presse* dowiaduje się, że zastępcą marszałka krajowego w Czechach w miejsce p. Lipperta, który mandat swój złożył, będzie mianowany niemiecki poseł Ferounsky.

Wiedeń 23 grudnia. Pociąg, którym dziś br. Banffy przyjechał do Wiednia spóźnił się o dwie godziny, w drodze bowiem przerwał się lecz bez groźniejszych następstw. O 10 godz. rano br. Banffy udał się do hr. Thuna i konferował z nim.

Grac 23 grudnia. Nowy namiestnik Clary Aldringen przybył tu wczoraj i objął urzędowanie.

Grac 23 grudnia. Zwołane na wczoraj przez posła Steinwendera zgromadzenie wyborców miało przebieg burzliwy. Przyszło do scen gwałtownych między zwolennikami posła sprawozdawcy i socjalistami a radykałami niemieckimi Steinwender nie mógł swej mowy dokończyć. Gdy wypowiedział słowa, że woli iść razem z socjalistami nawet niż z niemieckimi radykałami, zerwała się taka burza, że komisarz rządowy zmuszony był wreszcie zgromadzenie rozwiązać.

Edynburg 23 grudnia. Lord Balfour powiedział na bankiecie Tow. kupieckiego, że dokonana już koncentracja sił morskich Anglji niewiele kosztowała i że na polu polityki zagranicznej wszystkie partje angielskie są z sobą zgodne.

Paryż 23 grudnia. Pomocnicy handlowi w sklepach korzennych zamierzają dziś rozpocząć strajk. Żądają oni, żeby ich praca trwała tylko 12 godzin.

Wiedeń 23 grudnia. Hrabina Thun przepędziła noc niespokojnie, prawie nic nie spała i jest bardzo osłabiona; w ciągu nocy nadeszła z nuncjatury wiadomość, że papież przysłał chorej telegraficznie błogosławieństwo. Dziś rano arcyksiążę Ludwik Wiktor osobiście się dowiadywał o zdrowie chorej.

Wiedeń 23 grudnia. Tutejsze dzienniki donoszą z Florencji, że jenerał Jezuitów Martin otrzymał wiadomość z Muenster, iż powrót Jezuitów do Niemiec wkrótce nastąpi, gdyż centrum w parlamencie z całą natarczywością tego domagać się będzie.

Wiedeń 23 grudnia. *Fremdenblatt* podaje ostatni bjuletyn o stanie zdrowia hr. Thunowej: Stan przedstawia się poważnie, upadek sił coraz większy.

Wiedeń 23 grudnia. Zakon kawalerów maltańskich na uczczenie jubileuszu cesarskiego ofiarował 100.000 koron, przeznaczając procenta od 50.000 koron na rzecz żołnierzy-rekonwalescentów, którzy opuszczając szpitale, otrzymują urlop i powracają do domu, — procenta zaś od drugich 50.000 koron na stałe wsparcia dla inwalidów wojskowych.

Stambuł 23 grudnia. Wielki książę Mikołaj miał wczoraj pożegnalną audjencję u sułtana, poczem odjechał do Odessy.

Filadelfja 23 grudnia. W bankierskich kołach nowojorskich mówią o usiłowaniach Rosji celem zaciągnięcia $3^{1}/_{2}$-procentowej pożyczki w kwocie 90,000.000 dolarów, żądając kursu 97 za 100. Bankierzy jednak ofiarują 92 za 100. Przypuszczają, że pożyczka dojdzie do skutku wobec obfitości pieniędzy w Nowym Jorku.

Telegramy giełdowe i targowe.

Wiedeń 23 grudnia.

Giełda pieniężna. Wczoraj po zamknięciu giełdy wieczornej notowano: Kredyty 360 12, Węg. Kredyty —·—, Anglobanki 155 50, Wiedeńsk. „Bankverein" 265·—, Unjony 294·—, Laenderbank 233·—, Sztacbany 364·12, Lombardy 64·25, Elbetahle 260·25, Kolej północno-zachodnia 244·—, Tytuniowe 124 50, Rima 293 75, Alpiny 200 25, Renta majowa 101·25, Węg. renta koronowa 97·75 Losy tureckie 58 20 Marki niemieckie 59 — Tendencja spokojna.

Berlin 23 grudnia. Giełda wczorajsza wieczorna: kursa końcowe. (W nawiasie podane cyfry oznaczają kurs porównawczy wiedeński tak zwane *Wiener Parität)*. Kredyty 225·40 (360 13), Sztacbany 154 40 (363 82). Lombardy 28 10 (65·76), Disconto 196 60. Tendencja słabsza na słabsze kursa paryskie.

Frankfurt 23 grudnia. Giełda wczorajsza wieczorna, kursa końcowe. (W nawiasie podane cyfry oznaczają kurs porównawczy wiedeński tak zwany *Wiener Parität)*. Kredyty 303 75 (359 82), Sztacbany 306 50 (363 47). Lombardy, —·— (—·—), Laura 215·—, Harpener 177·50 Disconto 196 40. Tendencja słabsza.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 23 grudnia 1898 r.

HOTEL EUROPEJSKI. A. Fleischman z Jasła. J. Moser z Odessy. A. Milewski ze Złoczowa, H. Hanzl, A. br. Amelini z Wiednia. G. Haszlakiewicz z Techlowa. E. Adler z Paryża.

Kolendy.

Przechowane różne teksty jasełek religijnych należy uważać za utwór literacki, wprawdzie niekunsztowny, lecz posiadający wartość dokumentu historycznego. Nierównie donioślejszą wartość posiadają pieśni ludowe, dotyczące Bożego Narodzenia. Można z nich ułożyć rodzaj epopei nader wdzięcznej, porywającej prostotą uczucia i rzewnością. Dużo w nich, naturalnie, rubaszności, lecz w ustach ludu ona nie razi, nie odstręcza i nie oburza. W szarej tej przędzy połyskuje mnóstwo złotych nici, które godzi się wydobyć na wierzch. Postaramy się to uczynić chociażby dla próby:

Rozpoczniemy od Zwiastowania Najświętszej Panny. Rzecz się dzieje za „dworem", na łące, tam „przechodzi się śliczna Panna z Niebieskiego dwora" i tam dokonywa się Tajemnica Św., a rolę anioła-zwiastuna odgrywa ptaszek: „Niebieskie ptaszątko zwiastowało tej Marji, że będzie Dzieciątko. Marja się zlękła, na kolana klękła. Do klasztoru weszła oczki w niebo wzniosła: — A dajże mi Panie Boże, tym tej chwały doszła. Jak tej chwały dojdę, Bogu służyć będę." Udaje się do Betleem, a droga to daleka. Radzą pątnicy bywalce: „Przez Pokucie w prawo zrućcie, tak staniecie w Nazarecie, stąd pół mili do Betleem." Podróż nie obeszła się bez przygód, bo gdy Panienka chciała przenocować u bogatych chłopków, „tam się z niej wyśmiali, pieskami wyszczwali." Lecz „pieski nie szczekały, przed Nią poklękały." Poszła Najświętsza Panna z kolei do biednego zagrodnika, ten tłómaczy się: „Moja miła Pani, kiedy niemam kędy, małą chałupkę mam i dziatek dużo mam. Ale idźże Pani do tej mojej szopy, tamci będzie miała swój nocleg spokojny. — Wstaje chłopek w nocy, — samo północy, a nad jego szopą śliczna gwiazda świeci. — Śliczna gwiazdo, skądżeś się tu wzięła, jeszcześ nad tą szopą nigdy nie świeciła? — Jeszczem ani razu tutaj nie świeciła, Najświętsza Panienka Syna tu powiła." — „Żebym ja był wiedział ma Pani, o Tobie, żeś Ty miała powić Syna w mojej szopie, byłbym sobie posłał z dziatkami pod progiem, a Tobiebym był dał łóżko z Panem Bogiem." Mieszkańcy Betleem, dowiedziawszy się o narodzeniu Zbawiciela, zapraszają jeden przed drugiego Świętą Rodzinę do siebie. — „Prosimy do domku swego, do serca wam otwartego; mieszkajcie zawsze, jak w waszem, będzie zawsze państwo naszem. Już u nas, ojczenku, Józefie drogi, z Jezusem, z Marją spoczywaj z drogi, osiołek, z nami pospołu, będzie jadł z naszego stołu, będzie tu na dobrym wczasie, że nosił zbawienie nasze."

Zgodnie z tradycją, Chrystus Pan urodził się o północy: „Pastuszkowie, prędzej wstajcie, żwawo Pana przywitajcie, co się dla was rodzi". Biegną pastuszkowie, anioł im przewodniczy, śpiewając: „Chwała tam na wysokości, a pokój ludziom dobrej woli" — a ludzie zaś, słysząc tę radosną nowinę, gromadzą się i corychlej radzą: — „Skoczmyż do Betleem pasterze, niech każdy, co ma, dla Dzieciątka bierze, boć to dziecię w nędzy leży, bez posłania, bez odzieży, na ciężkim mrozie. Ja Mu dam barana jeszcze tego rana; dam Mu także gruszek i pięknych jabłuszek; ty zaś Grzela jagniątko, przyjmie ciebie Paniątko; Kuba masła osełeczkę, a Jan kukiełeczkę; Kachna koszuleczkę, Magda sukieneczkę. A ty, Wojtku, nabierz siana, pościelesz w żłobku dla Pana, żeby niebiańską Dziecinę uśpić można choć godzinę. Kuba do gołąbków parę, a Stacho weźmie fujarę, zagra Panu w tę miarę: Lulu, lulu, Jezu, Zbawicielu złoty, w tym żłobeczku, jak w łóżeczku, śpij kochaneczku".

W stajence betleemskiej mroźno, wiatr wdziera się przez szczeliny i usnąć Dzieciątku nie daje. Boża Rodzicielka radzi sobie, jak może: „Złożyła Dziecię między woły w jasła: z jednej strony wołek pucha, z drugiej siwy gołąb zieje, a z trzeciej Marja kołysze. Dziecina kwili, Matuchna tuli, ustało przecie kwilić po chwili". Panienka kolebując, śpiewa: „Witaj synu najśliczniejszy, witaj Jezu najwdzięczniejszy, luli, luli, luli, luli memu Dzieciątku malemu. Witajcie oczka słodziutkiego, usteczka Syna drogiego, luli, luli, luli, luli memu Dzieciątku słodkiemu. Nanajże Jezu kochany, nanaj światu pożądany, luli, luli, luli, luli memu Dzieciątku ślicznemu". Podczas tej rzewnej kołysanki, śty Józef: „Wziąwszy pieluszek, zewsząd od wiatru Dziecię obtuła. Wiatr zewsząd wieje, nie zagrzeje i już do reszty strzechę obdziera. Co jeszcze dalej: szopka się wali, Józef nieborak kijem podpiera".

Niestrudzoną jest Bogarodzica w zabiegach macierzyńskich. Widzimy, jak kąpie Dziecię „między dwiema pagóreczkami, gdzie bieży woda strużeczkami", (w innej pieśni: „nie miała go czem umywać, aż sama wodziczka z morza przypłynęła"); jak Je spowija „w swój pogłowniczek, w S-go Józefa przypaśniczek" (w pieśniach Pokucia: „w jedwabny pas spowijała, w jedwabną chustę tuliła, srebra i złota przy główce nakładła"); jak kołysała w kolebeczce zawieszonej „między dwoma ołtarzykami". Tak spowitego, kołysze Święta Macierz i śpiewa: „Oj nynaj, nynaj, Synu mój, jużbym ja śniadała" — a Dziecię zapytuje: — „Cobyś Matuchno, śniadała? — Rybki, żebym miała. Oj, rybki, rybki, rybeczki, drobne szczupiałeczki. — Czekaj Matuchno za chwilę, za małą godzinę, ino się spuszczę do morza, ułowię węgorza". Czyni to Dziecię, a gdy wróciło z połowem: „Anieli ogień składali, obiad gotowali. Stał im się ogień lodowy, a płomień wiatrowy; stał im się stolec brzozowy, obrus drelichowy". Dziwi się Matka: — „Jakby to Synu mogło być, żebyś Ty miał rybki łowić? Jeszcze nie wyszła godzina, jakiem Cię, Synu, spowiła? — A Ty, Matuchno, nie wierzysz, żeby Ja był Syn Boży? Stworzyłem żydów, tatarów i was chrześcijanów; stworzyłem ptactwo, robactwo, ludziom na bogactwo; stworzyłem konie i woły, ludziom to do roli; stworzyłem piaski, kamienie, ludziom zbawienie; stworzyłem wszystek dobytek, ludziom na pożytek".

Wielce oryginalnemi są kolendy Kaszubów i Kurpiów mazowieckich. Pierwsi zapewniają Jezusa: „Gdybyś na Kaszubach był urodzony, nie na sianeczku byłbyś złożony. Dałbym Ci sienniczek i pod Cię pierzniczek, parę poduszek, piernat, jak puszek". Odzież miałby Pan „nieladajaką: z siwym barankiem czapkę bogatą, sukienkę z modrego sukna kaszubskiego; a pas choć z siebie dałbym dla Ciebie. Bekieszkę miałbyś futrem podszytą, pętelkę u niej z tasiemką litą, czerwone buciki, pod nimi gwoździki". — Na śniadanie: — „miałbyś przesmażenie, z masłem bułeczkę, miodu szklaneczkę". Na obiad: „kaszę jęczmianą, rosołem żółtym tłusto podlaną, z soporem gęsinę ze szperką jarzynę, z imbirem flaki, jajeczniczkę z tłustą kiełbaską, piwa Tucholskiego albo Gostyńskiego po uszy". Na wieczerzę: „Z nalsniczkami byłyby kiszki wraz z pierogami, groch ze słoniną, rzepa z baraniną, ptaszki pieczone: kuropateweczki, gołąbki, jarząbki". Kurpiaki nie daliby się zakasować: „U nas, w ostrołęckiem na puszczy — starostwie, nie byłbyś się rodził w takowem ubóstwie. Mamy tu izb wiele i ciepłe pościele. Chociaż nam barci w lasach, drzewa zabraniają, uzdy i siekiery w lasach zabierają, jednakbyśmy byli choć w nocy zwozili suche drewka dla Ciebie. Miałbyś buraczki i kapustę, Panie, z tłustą wieprzowiną zawsze na śniadanie, mleko z jagiełkami, chlebek z oładkami i miodu flaszeczkę. A na obiadbyśwa skrzeczków nasmażyli, i kaszy gryczanej tłusto nakrasili, zając, kuropatwy, choć połów niełatwy byłby, Panie, dla Ciebie".

Podług M. Synoradzkiego.

ZE ŚWIATA.

Rzekomy wynalazca *„perpetuum mobile"* zmarł w osobie Johna Keely w Filadelfji. Człowiek ten, który umiał zaledwie czytać i pisać, prowadził do 37 roku życia żywot awanturniczy i nareszcie stanął w szeregu wynalazców, twierdząc, że przez „sympatję polarną międzyatomicznego eteru" odkrył „prawo molekularnej dezintegracji" i co zatem idzie *perpetuum mobile*. Zaczął wydawać akcje na „Keely-motory", ale nikt ich nie widział nigdy. Ponieważ należał do świeczników gminy baptystów, przeto nikt go nie śmiał zaczepić i w ten sposób prowadził swój humbug przez 25 lat bezkarnie.

Wpływ ogłoszeń. Jeden z dzienników angielskich podaje następujące stopniowanie wpływu ogłoszeń: „Pierwsze ogłoszenie — nikt go nie czyta; drugie ogłoszenie — czytelnik je spostrzega, ale nie czyta; trzecie ogłoszenie — czyta bezkrytycznie; czwarte ogłoszenie — czyta i zwraca uwagę na cenę przedmiotu; piąte ogłoszenie — utrwala sobie w pamięci, a nawet zapisuje adres; szóste ogłoszenie — mówi o niem z żoną; siódme ogłoszenie — nabiera skłonności do kupienia; ósme ogłoszenie — kupuje; dziewiąte ogłoszenie — zwraca uwagę znajomych na „uporczywość" ogłoszenia; dziesiąte ogłoszenie — ogół, przyzwyczajony do ogłoszeń, zaczyna ich szukać w dzienniku, a jeżeli nie znajdzie, sarka.

Zapasy węgla kamiennego. Obliczając znajdujące się w Anglji, w ziemi, zapasy węgla kamiennego ocenia je pisarz angielski Forster Brown na 66.683 miljonów ton. Do roku 1950 — zostanie $^{11}/_{15}$ tych zapasów wyczerpane i wydajność roczna nie utrzyma się na teraźniejszym poziomie, chyba w tym razie, jeżeli będą czynione poszukiwania gorszego węgla i to w głębokościach znaczniejszych. Wystarczy tego węgla na 250 lat, jeżeli konsumcja roczna będzie wynosiła 250 miljonów ton. Brown długo zatrzymuje się przy kwestji ulepszeń technicznych, które wprowadzić musi inżynier, aby wydobywać węgiel w warunkach dla niego jak najzyskowniejszych. Koszty wydobywania mają obecnie w Stanach Zjednoczonych tendencję zwyżkową, a to z racji podniesienia się cen robocizny i wzrostu podatków. W Niemczech, głównie konkurujących w tym względzie z Anglją, widzimy to samo. W Ameryce wydajność węgla kamiennego zwiększa się. W r. 1883 wydobyto 103 miljony ton, w roku 1896 wydajność dosięgła 171 miljonów. Stany Zjednoczone znajdują się teraz w położeniu, w jakiem znajdowała się Anglja 50 lub 60 lat temu, pokłady są dość oddalone od morza, lecz koszty transportu minimalne. Z drugiej znów strony olbrzymie pokłady węgla w Chinach muszą wywrzeć wielki wpływ na rynki wschodnie.

Nieznana rzeczpospolita. Na północno wschodniem wybrzeżu Sardynji, we włoskiej prowincji Sassari, leży wyspa Tavolara, obejmująca 7 kilometrów obszaru i mająca ustrój republikański. Kraik ten odstąpił w r. 1833 król sardyński Albert rodzinie Bartholoni, której głowa ogłosiła się królem „Paolo I." Panował on do r. 1882. Po śmierci „monarchy" nie chciało 158 poddanych uznać jego syna, jako nowego króla i utworzyli republikę z liberalną konstytucją, która i kobietom zapewniała prawo głosu. Po ogłoszeniu republiki i utworzeniu ministerstwa, wysłano deputację do rządu włoskiego, który się temu nie sprzeciwił i tak istnieje do dziś rzeczpospolita Tavolara, jako samodzielne państwo. Obecny prezydent panuje już lat 10. W roku 1902 ma widoki objęcia prezydentury kobieta.

Nie ma starych panien. Stany Zjednoczone są prawdziwym rajem dla panien na wydaniu. Ogłoszono tam świeżo urzędową statystykę ludności, z której czerpiemy następujące cyfry: W Stanach Zjednoczonych jest 5,427.000 kawalerów, liczących więcej nad lat 20 życia, a panien w tym samym wieku 3,224.494. Gdyby więc wszystkie panny wyszły za mąż, zostałoby jeszcze 2,200.000 kawalerów. Dużą liczbę kawalerów do wzięcia, posiada stan Massachussets, największą stan Ydaho, w którym na 1420 kawalerów przypada tylko $16^3/_4$ panien. W staniie Wyeming panna ma 10 szans wyjścia za mąż, w stanie Arizona 9, w Waszyngtonie 8, w Newadzie 7. Stany Zjednoczone mają 3 razy więcej wdów niż wdowców.

Najwyższa i najniższa temperatura, jaką człowiek znieść może, waha się między bardzo oddalonemi od siebie granicami. Profesor Chaubert, francuski „król ognia", miał niejednokrotnie przebywać przez czas dłuższy w suszarni ogrzanej do 260° C. Piec, w którym rzeźbiarz Francis Legatt Chautrey suszy swoje formy, rozpalano do 176° C. Pomimo tego jednak jego robotnicy wchodzili tam mając na nogach tylko drewniane buty. Pewnego razu wszedł Chautrey sam z kilku przyjaciółmi do tego pieca, a gdy wyszli po dwóch minutach termometr wskazywał 160° C. Kilku z panów odczuwało tylko kolący ból w uszach i oczach. Najniższy stopień zimna mierzony został przez porucznika Szwatkę, który szukał Franklina. Dnia 3. stycznia 1880 roku wskazywał termometr — 75° C., a mimo tego ekspedycja posuwała się coraz wyżej na północ.

Troska Francji o ludność. *Journal officiel* ogłasza teraz wynik ruchu ludności za rok 1897, a są one dla Francji poprost przerażające. Liczba urodzeń wynosi 859.107, to jest o 6479 mniej, niż w roku 1876. Podczas, gdy w Niemczech, Austrji i we Włoszech przypada na 1000 mieszkańców 38 urodzin rocznie, we Francji przypadało w 1896 roku 24, a w roku 1897 tylko 22. Liczba urodzeń przewyższyła liczbę zgonu o 108.088 tylko dla tego, że w roku 1897 stan zdrowia we Francji przedstawiał się nadzwyczaj dobrze.

Trzy dziewiątki. Jaką cyfrę najwyższą można utworzyć z trzech dziewiątek? Profan odpowie, że 999, matematyk jednak zaprotestuje, gdyż z trzech dziewiątek można ułożyć niepochwytną dla umysłu ludzkiego w swej wielkości cyfrą 9^{9^9}, co znaczy: dziewięć w stopniu dziewiątym w stopniu dziewiątym. Aby cyfrę taką otrzymać, trzeba podnieść 9 do dziewiątej potęgi, czyli pomnożyć dziewięć razy przez dziewięć, co da względnie skromną liczbę 387,420.489; następnie zaś dziewięć mnożyć 387,420.489 razy przez dziewięć. Tu kończy się wszystko, bo życie jednego człowieka nie wystarczy na taką robotę, gdybyśmy jednak chcieli zbiorowemi siłami tej pracy dokonać, przekonalibyśmy się, iż liczba, w ten sposób otrzymana, składałaby się z 369 miljonów cyfr (nie czujecie zawrotu głowy?), gdybyśmy zaś chcieli tę cyfrę wypisać na pasku papieru, licząc po dwadzieścia cyfr na decymetrze, musielibyśmy użyć skrawka długości 18.485 kilometrów, czyli prawie półtora raza średnicy ziemi. Oto, co można otrzymać z trzech dziewiątek...

Jeszcze telegraf bez drutu. Profesor techniki w Bernie morawskiem, Zickler, przedstawił w towarzystwie przemysłowem swojego wynalazku aparaty do telegrafowania bez drutu. Jest to nowa, jak zapewniają, metoda telegrafowania świetlano-elektryczna za pomocą niewidocznych, fijoletowych promieni, które wywołują objawy elektryczne i przez to znaki, słowa, rysunki na odległość przenoszą. Odbywa się to w ten sposób, że tylko korespondujące z sobą aparaty w przesyłce pośredniczą: przesyłka wiadomości przez inne aparaty podchwyconą być nie może. Prof. Zickler demonstrował całą procedurę na odległość sali, a doświadczał jej skutecznie już na $1^1/_2$ kilometra. Wyraził on przekonanie, że rozmiary odległości dadzą się bezgranicznie z czasem rozszerzyć.

Z tajemnic dworu koreańskiego. O otruciu króla koreańskiego i następcy tronu donosi w ostatnim swoim numerze *North China Daily News* następujące szczegóły: W dniu 12. października r. b. król przebywał z księciem w haremie, gdzie podano mu kawę. Król, jak zawsze, ostrożny, przezornie spróbował mokki, a gdy smak napoju wydał mu się podejrzany, zaproponował następcy tronu i otaczającym kobietom, aby również kawy spróbowali. Książę następca tronu wypił podaną mu filiżankę jednym haustem i po kilku sekundach padł, jak piorunem rażony. Natychmiastowa pomoc lekarska przywołała go do życia, chorował jednak aż do dni ostatnich. Z kobiet, które z rozkazu króla piły kawę, zachorowało dwadzieścia. Król, zdjęty gniewem, nakazał aresztowanie głównego eunucha, dwóch ministrów i główniejszych urzędników dworu. Śledztwo wykazało, iż tegoż dnia, w godzinach porannych, kręcił się po kuchni były kucharz, który następnie zginął bez wieści. Wykryto również, że do ucieczki i zatarcia śladów za nim przyczynili się głównie dwaj mandaryni: Kin i Ko. Tegoż dnia zapadł wyrok i tegoż dnia głowy Ko i Kina spadły pod toporem kata. Następnie służba pałacowa podburzyła motłoch, który otoczył plac stracenia i zaczął się domagać wydania zwłok mandarynów ściętych. Wydano je, a wówczas tłum powiózł je w tryumfalnym pochodzie na wozie przed pałac, gdzie rozpoczęła się tak zwana „kara pośmiertna". Wyrwano trupom oczy i języki, napiętnowano ręce i nogi rozpalonem żelazem, wyrwano serce i nerki, a pozostałe wnętrzności rzucono psom na pożarcie. Sceny takie odbywają się w Seulu kilka razy do roku.

Ubezpieczenia miljonerów. Dotychczas istniało na świecie tylko trzech ludzi, którzy mogli powiedzieć o sobie, że są najwyżej ubezpieczeni, a mianowicie Jerzy Vanderbilt, mistress Stanford i lord Rothschild. Wszyscy oni są ubezpieczeni na miljon dolarów, obecnie jednak znalazł się w Nowym Jorku miljoner, który się ubezpieczył na dwa. Ajent zarobił przytem mały majątek, przeszło 3%, który mu natychmiast wypłacono, a premja roczna wynosi około 100.000 dolarów.

Polacy w Ameryce. Ruskie pismo amerykańskie *Swoboda* donosi: W Scranton, biskup zasuspendował księdza Hodura za to, że on założył tam kościół niezależny. Dnia 25 października zebrało się 2000 Polaków i ogłosili się niezależnymi od Rzymu. W Bridgeport biskup dał Polakom ks. Puhila z Hazleton, a byłego księdza usunął. Rozgniewani Polacy napadli na plebanję, powybijali okna kamieniami, aż gdy ksiądz pokazał się w oknie z rewolwerem, pouciekali. Mają teraz Polacy dwóch biskupów wyklętych i kilku księży zasuspendowanych. Ciekawem jednak jest to, że i pomiędzy niezależnymi Polakami nie ma zgody. Nie chcą nikogo słuchać. Skoro tylko gdzie się utworzy niezależna parafja, to parafjanie zaraz krzyczą: „Nasz ksiądz ma być biskupem!"

Dobrane stadło. W tych dniach na Helgolandzie odbył się ślub chińskiego oficera z Niemką. Oblubieniec, porucznik marynarki Czai, przybył z kilku kolegami do Elbląga, aby dopilnować budowy obstalowanego przez rząd chiński kontrtorpedowca. W Elblągu syn państwa niebieskiego poznał pannę Berg, zaręczył się z nią i ożenił. Prawdopobobnie w Chinach nieszczególne zgotowanoby mu z tego powodu przyjęcie, przezorny więc Chińczyk natychmiast po ślubie pożegnał się z kolegami i pozostał w Niemczech, mianowicie w Królewcu na stałe. Oby nie zaznał nostalgji w objęciach córy Niemiec!...

Rajem kobiet można śmiało nazwać Birmę — tam już nie mają one potrzeby występować w obronie swych praw, gdyż oddawna posiadają je na równi z mężczyznami. Niema haremów, zalecanki nie doznają żadnych ograniczeń, z wyjątkiem kokietowania i całowania, co uważanem jest za nieprzyzwoitość. Wszystkie interesy załatwiają kobiety, mężczyźni siedzą w domu, palą tytuń i wychowują dzieci. Każda z kobiet posiada jakiś sklep, a jeżeli mąż nie jest dla niej grzecznym i rozwiedzie się z nim, to daleko jej się lepiej dzieje, niż przed zamążpójściem. Kobieta w Birmie ma pod każdym względem lepiej, niż mężczyzna.

Kobiety birmańskie są małe i przystojne. Ubiór ich ma pewien podkład artystyczny, tak pełnym smaku jest dobór barw sukien, ściśle przylegających do ciała, biały kaftanik z krótkimi rękawami okrywa biust. I w Birmie włosy są dumą kobiety; sięgają one nieraz do ziemi, a nie uciska ich nigdy kapelusz, natomiast tkwią często róże i inne kwiaty w ciężkich warkoczach. Klejnoty są bardzo lubiane, ale żadna z kobiet nie przeładuje się nimi, jak żydówka naprzykład.

Skoro tylko mała dziewczynka zacznie biegać, bierze natychmiast cygaro do ust. Tytoń indyjski jest bardzo łagodny, cygara jednak wobec długości od sześciu do dwunastu cali tak grube, że usta małych dziewcząteк zaledwie objąć je mogą. Jak dziewczęta europejskie żują czekoladę, tak w Birmie cygaro nie wychodzi z ust dziewczęcia, a niekiedy sześć takich małych damek widzi się przy jednem cygarze, które przechodzi z rąk do rąk. W ogóle uważanem jest za objaw uprzejmości w Birmie, gdy się komuś niepalącemu na ulicy poda swe własne napół dopalone cygaro, tak jak np. w Persji uważanem jest za zaszczyt, gdy gospodarz wsunie w usta gościa palcami kawałek mięsa ze swego talerza.

Wśród młodzieży birmańskiej już od najwcześniejszych lat mówi się o „lubym" i o „lubej". W dwunastym lub trzynastym roku życia takie „głupstwo" traci wszelką wartość, gdyż wtedy zaczyna się wiek poważny, w którym trzeba myśleć o zamążpójściu. Co w Europie znaczy długa suknia, to w Birmie przekłucie uszu — a operacja ta odbywa się z wielką pompą. Zaręczyny odbywają się zupełnie na sposób europejski, ale narzeczonemu nie wolno nigdy rozmawiać z narzeczoną sam na sam; wszystkiego, co do niej mówi, musi wysłuchać przynajmniej trzy do czterech przyjaciółek. Po ślubie nie potrzebuje jednak żona żadnego świadka na to, co swemu mężowi — rozkazuje.

Śpiewak-eskimosem. Z punktu cywilizacyjnego bardzo smutny, ale przytem w wysokim stopniu wysoce romantyczny los spotkał norweskiego śpiewaka operowego Engelstadta. Był to swego czasu znany i ceniony śpiewak norweskiej opery dworskiej. Znudził mu się jednak świat cywilizowany, to też wywędrował do kraju św. Michała i tam ożenił się z Eskimoską. Ma już z nią pięcioro dzieci i żyje w Alasce, gdzie ludzie tytułują go „panem baronem". Swego kroku podobno dotychczas nie żałował. Gdyby jednak chciał wystąpić na której ze scen europejskich? Coby to była za wspaniała reklama!

Szanse wyjścia za mąż rozbiera świeżo wydany w Paryżu almanach *Hachette*. Statystyk dowodzi cyfrowo, iż liczba małżeństw zmniejsza się stale z roku na rok. Co do wieku, w jakim najchętniej bywają dziś zawierane małżeństwa, to przypada on między 20 a 25 rokiem. I tak w Paryżu na 100 małżeństw przypada 13 na wiek 15 do 20 lat, poczem cyfra ta zwiększa się, a przy fatalnej „trzydziestce" wynosi 22 na 100. Od 30—35 wychodzi za mąż 12 na 100; od 35—40 już tylko 6, od 40—45 tylko 5, a w wieku 45 do 50 już tylko jedna na 110. Panny sześćdziesięcioletnie posiadają z 365 jedną szczęśliwą. Największemi konkurentkami panien są wdowy, które w każdym wieku wychodzą daleko łatwiej za mąż, niż panny.

Z nad morza.

(Oryg. korespondencja Dziennika Polskiego).

Hamburg 12 grudnia.

Na falach Elby zakołysał się wczoraj po raz pierwszy świeżo wybudowany okręt, olbrzymi parowiec „Graf Waldersee." Spuszczenie na wody nowego statku należy tu do wielkich uroczystości, a ta, która właśnie się odbyła, była tem okazalszą i tem większą wzbudziła ciekawość, że wspomniany parowiec, zbudowany w warsztatach światowej firmy „Blohm & Voss", jednej z największych fabryk okrętów, przechodzi rozmiarami wszystkie, jakie dotychczas pruły fale oceanów. Kiedy przed paru laty fabryka Blohma i Vossa zbudowała olbrzymi parowiec „Pensylwanję", który Anglicy nazwali „The Goliath of the Ocean", wielu znawców z niedowierzaniem kiwało głowami, twierdząc, że parowiec tej wielkości, zanurzając się głębiej, niż statek, będzie narażony na niebezpieczeństwa w niezbyt głębokim hamburskim porcie. Próba jednak udała się i wkrótce potem spuszczano na wodę „Pretorję", parowiec dłuższy jeszcze o kilka metrów od przyjętej z takiem niedowierzaniem poprzedniczki. Gazety całego świata przyniosły wtedy illustracje i szpaltowe artykuły z podziwem dla morskiego kolosa i zdawało się, że *maximum* wielkości parowców zostało już osiągnięte. Lecz oto obecnie „Graf Waldersee" przerastając rozmiarami i pojemnością oba poprzednie, zdobył dla siebie berło króla morza.

Budowa jego rozpoczętą została przed rokiem i pochłonęła olbrzymią sumę ośmiu miljonów marek, którą „Towarzystwo dla transportu na linji Hamburg-Ameryka" ma wypłacić wspomnianej firmie. „Graf Waldersee" ma długości 180 metrów, 26 m. szerokości i 40 wysokości, których połowa, przy pełnym ładunku zanurza się w wodę. Pojemność jego wynosi 23 tysięcy ton, z których w razie potrzeby 4 tysiące ton można zastąpić wodą wlewaną do odpowiednich basenów umieszczonych na spodzie statku. 200 kajut, urządzonych z niebywałą elegancją, jest w stanie pomieścić 350 pasażerów. W ruch wprowadzają go dwie maszyny parowe o sile 6 tysięcy koni, poruszające dwie śruby umieszczone na tyle statku. 22 łodzi ratunkowych ma zawisnąć na jego pokładzie. Pierwszy co do wielkości „Graf Waldersee" musi jednak pod względem szybkiego biegu ustąpić miejsca innym statkom, bo właśnie ogrom jego powoduje to, że przy pełnej parze będzie mógł przebiegać tylko 16 mil angielskich na godzinę.

Wobec tych niebywałych cyfr, zainteresowanie, jakie towarzyszy tu zwykle spuszczeniu na wodę nowego statku, wzrosło tym razem jeszcze bardziej, ożywiło miasto i przez parę dni o niczem innem nie słychać było w Hamburgu, jak tylko o zapowiedzianym *Stapellaufie*. Na ulicach, w kawiarniach, restauracjach i wszędzie, gdzie się tylko koncentruje ruch i życie, krzyżowały się pytania, traktujące o możliwości dostania karty wstępu, o sposobie jej zdobycia i o kwestji udania się całego aktu, a ponieważ niżej podpisanemu udało się należeć do tych szczęśliwych, których bilet upoważniał do wstępu w serce uroczystości, na trybunę, gdzie się odbywała ceremonja chrztu, z przyjemnością więc dzieli się wrażeniem obchodu z czytelnikami *Dziennika*.

Zabudowania fabryczne firmy „Blohm & Voss", stanowiące rodzaj małego miasteczka, zwanego Steinwärder, leżą po drugiej stronie Elby tuż przy wjeździe do portu. W miejscu, gdzie się wsiada na małe parowce, kursujące po całym obszarze portu i między oboma brzegami Elby, widać po jednej stronie jego przednią część, tysiące masztów i żagli, setki buchających dymem kominów — po drugiej jasny pas Elby, która świecąc falistą powierzchnią w tem miejscu rozlewa się szeroko i wielką głębią daje przystęp do Hamburga największym statkom. Od strony portu, z między mnóstwa kominów i masztów dolatuje co chwila przeraźliwy świst parowców zmięszany z monotonnym pluskiem fali. Niezliczona ilość małych statków, czerni się między kadłubami wznoszących się z wody kolosów, jak stado much na szarem tle fal. Wprost przed oczami, w odległości kilkuset metrów na przeciwnym brzegu, widnieje osłonięty mgłą dymu ciemny las rusztowań, między któremi zarysowują się niewyraźnie olbrzymie kadłuby budujących się parowców.

Uroczystość naznaczona była na czas, w którym wzniesienie się wody między przypływem i odpływem morza jest średnie t. j. na godzinę 2. Na godzinę przedtem w wspomnianem miejscu poczęły się gromadzić tłumy, które wzrastając z każdą chwilą, wkrótce na kształt czarnego węża rozwinęły się wzdłuż brzegu. Pogoda nie dopisała. Z ołowianych chmur padał drobny kapuśniaczek, a kiedyśmy wsiedli na mały parowiec przewożący zaproszonych na drugi brzeg, do zabudowań fabrycznych, z zachodniej strony powiał wiatr i rozkołysawszy fale, począł zrywać kapelusze i miotać tumanami drobnego deszczu. Biała piana fal obryzgiwała co chwila nasz statek, szum wody, wicher i gwar idący od brzegów, głuszył rozmowę. W niespełna dziesięć minut dostaliśmy się na drugą stronę. Gdzie tylko okiem sięgnąć, widać było tłumy ludzi. Wszystkie statki, które w tem miejscu zarzuciły kotwice, wszyskie jachty, żaglowce, łodzie i barki czerniły się od ciekawych. Pół Hamburga znalazło się na miejscu. Niektórzy powydrapywali się nawet na maszty, chcąc lepiej zobaczyć debiut króla okrętów.

A on sam, zwrócony piersią w stronę wody, przybrany w setki barwnych flag, trzepoczących się od silnego wichru, stał zaledwie o kilka metrów od brzegu między olbrzymią, szarą masą rusztowań. I rzeczywiście szła od niego królewska duma i majestat, spokojna pewność, że nie zawiedzie nadziei. Potężny, czarny jego kadłub, wspierając się na pochyłym nieco, drewnianym pokładzie, zarysował się ciemną masą między tysiącami pali i belek i malejąc w perspektywie, biegł w stronę do trybun, na których dokonać się miała ceremonja chrztu.

Wszystko, co Hamburg ma pierwszorzędnego, zgromadziło się tutaj. Więc przedewszystkiem cały sztab miljonerów Uhlenhorskich *), wszyscy senatorowie Hamburga, dalej burmistrz, przedstawiciele towarzystwa żeglugi, właściciel fabryki Blohm, jenerał armji niemieckiej hr. Waldersee, ten, od którego nowy okręt przyjął nazwę i wiele, wiele publiczności. Trybuny kryte, więc mimo deszczu i niepogody wszystkie prawie kobiety w wykwintnych, jasnych tualetach. Tu także stały dwa olbrzymie słupy, do których na żelaznych łańcuchach przymocowany był okręt.

Godzina 2. Tysiące ócz świdruje czarny kadłub kolosu, tysiące ludzi w naprężeniu czeka na pierwsze jego drgnięcie. Na trybunach, obsypanych publicznością, jakby barwnym makiem, opowiadają sobie o zaszłych tu wypadkach, w których statek olbrzymim ciężarem przechylił się na bok, zarył w ziemię i uroczystość się nie udała. Niecierpliwość wzrasta, ale właśnie na mównicę wystąpił hr. Waldersee i rozpoczął uroczystość. W krótkiej mowie podziękował firmie fabryki i przedstawicielom hamburskiego towarzystwa żeglugi, że ochrzcili statek jego nazwiskiem, a po chwili przerwy ukazała się na trybunie hrabianka Waldersee w białej sukni i zwracając się do statku dźwięcznym głosem wypowiedziała następujący wierszyk:

Zieh' hin nach Westen durch die Meere,
Geh' treu und furchtlos deine Bahn
Und bringe Deinem Namen Ehre,
Zeig Draussen Deutschlands Grösse an;
Trag in die Ferne Hamburgs Ruhm
Für Deutsche Art als Heiligthum.
Trag fest und sicher durch die Wogen
Stets alle, die sich Dir vertraut,
Ob Stürme gegen Dich gezogen
Ob sonnig Dich die Fluth umblaut,
Dich schirme Gott aus Himmelshöh —
So tauf' ich Dich „Graf Waldersee".

Skończywszy, chwyciła ubraną w kwiaty i szarfy flaszkę szampańskiego wina i rzuciła ją na żelazny kadłub okrętu. Prysnęło szkło i perlisty płyn obryzgał żelazną ścianę. Ceremonja chrztu została skończoną. Właściciel fabryki Blohm podniósł w górę stalowy topór i jednem cięciem przeciął linę, wprowadzając w ruch prasę hydrauliczną.

Stalowy olbrzym drgnął. Głuchy pomruk przeleciał z jednego końca tłumów na drugi i nagle z kilkunastu tysięcy piersi przeciągłe „hura" wstrząsnęło powietrzem. Olbrzymie, czarne cielsko parowca poczęło majestatycznie sunąć się po wysmarowanych łojem szynach, początkowo wolno, potem prędzej i prędzej. Żelazna pierś rozpruła szare fale. Z tyłu, wskutek tarcia żelaza o drewniany pokład, buchnęły kłęby dymu i przysłoniły na chwilę widok statku, który skruszywszy jak zapałki, kilkanaście wielkich pali, służących do przymocowywania parowców, wjechał już w przeznaczony sobie żywioł i schwycony na kotwicę począł majestatycznie kołysać się na wodzie. Na trybunach powstał wrzask i wrzawa, interesowani ściskali sobie ręce, a nad kołyszącym się na szarych falach królem oceanów poczęły krążyć stada białych mew i osiadać jego maszty.

Stanisław Rychter.

*) Uhlenhorst, najpiękniejsza dzielnica Hamburga, którą zamieszkują miljonerzy.

Ruch pociągów kolejowych obowiązujący z dniem I. października 1898.

(Przyjazdy i odjazdy pociągów podane są według zegaru środkowo-europejskiego).

Do Lwowa przychodzą:

Z KRAKOWA na dworzec główny posp. 5·10 rano, osob. 9·05 rano, posp. 1·30 w południe, osob. 6·10 wieczorem, posp. 8·45 wieczorem, osob. 9·10 wieczorem.

Z PODWOŁOCZYSK na dworzec w Podzamczu osob. 3·04 w nocy, posp. 2·15 w południe, osob. 5·— popołudniu, posp. 9·39 wieczorem.

Z PODWOŁOCZYSK na dworzec główny osob. 8·30 rano, posp. 2·30 popołudniu, osob. 5·25 popołudniu, posp. 9·55 wieczorem.

Z CZERNIOWIEC osob. 6·45 rano, osob. 10·35 przedpołudn., posp. 1·50 w południe, osob. 5·40 popoł., posp. 9·45 wieczorem.

ZE STRYJA, ŁAWOCZNEGO, KAŁUSZA, CHYROWA, BORYSŁAWIA osob. 8·05 rano, osob. 1·40 w południe, osob. 10·30 w nocy, osob. 12·15 w nocy.

ZE SOKALA i RAWY RUSKIEJ osob. 7·55 rano, osob. 5·55 popołudniu.

Z TARNOPOLA i BRODÓW na Podzamcze osob. 7·50 rano; na dworzec główny osob. 8·15 rano.

Z JAROSŁAWIA i LUBACZOWA osob. 10·45 przedpołudn.

Z JANOWA osob. 7·40 rano, osob. 1·01 w południe.

Ze Lwowa odchodzą:

DO KRAKOWA osob. 4·10 rano, posp. 8·35 rano, osob. 8·50 rano, posp. 2·50 po południu, osob. 6·40 popoł., posp. 10·40 wieczorem.

DO PODWOŁOCZYSK z dworca głównego posp. 6·— rano, osob. 9.35 rano, posp. 1·55 popołudniu, osob. 11·— w nocy.

DO PODWOŁOCZYSK z Podzamcza posp. 6·15 rano, osob. 9·53 rano, posp. 2·08 popoł., osob. 11·27 w nocy.

DO CZERNIOWIEC posp. 6·05 rano, osob. 10·55 przedpoł., posp. 2·10 popoł., osob. 6·30 wieczorem, osob. 10·05 wieczorem.

DO STRYJA, SKOLEGO, KAŁUSZA, HREBENOWA, ŁAWOCZNEGO, CHYROWA, BORYSŁAWIA osob. 5·20 rano, osob. 9·15 przedpołudniem, osob. 3·— popołudnin, osob. 7·— wieczorem.

DO SOKALA i RAWY RUSKIEJ osob. 9·55 przedpołudniem, osob. 7·10 wieczorem.

DO TARNOPOLA z dworca głównego osob. 6·55 wieczorem; z Podzamcza osob. 7·15 wieczorem.

DO JAROSŁAWIA i SAMBORA przez Przemyśl osob. 4·55 popołudnin.

DO JANOWA osob. 8·45 rano, osob. 7·44 wieczorem.

Uwaga: Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut a mianowicie 12 godz. w czasie środkowo-europejskim = 12 godz. 36 minut czasu lwowskiego.

Biuro informacyjne c. k. kolei państwowej przy ul. 3go maja w hotelu Imperial, udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych, sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy w formacie kieszonkowym.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, M. Schmitt i A. Milski. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.